Brazylia, Argentyna, Urugwaj

Buenos Aires. Kościół św. Ignacego.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

W deszczowy późny wieczór 25 listopada 1995 pani Ermelinda Maria Pereira wiezie mnie na lotnisko w Lizbonie. Leje straszliwie i zimno. Za to nazajutrz w Rio de Janeiro piękny, słoneczny poranek, gorąco, oczywiście. Witają mnie Luitgarde i jej mąż. Jedziemy do nich, do pięknej, eleganckiej dzielnicy w południowej części miasta, Laranjeiras (Gaj Pomarańczowy). Mieszkanko Luitgardy ciasne. Gospodyni ma wielką ochotę na długą konwersację, a ja po dwóch godzinach ze zmęczenia spadam z krzesła. Wreszcie odpoczywam w dusznym,

zagraconym do niemożliwości pokoju jej syna. Nade mną wisi pod sufitem rower górski. Zastanawiam się, czy nie spadnie mi na głowę w którymś momencie… Zmęczenie jest tak upiorne, że nie mogę zmrużyć oka. Na szczęście, wieczorem idziemy do Nireu, brata Luitgardy, na sąsiednią ulicę. Zamieszkam u niego, wysoko, w facjatce z balkonem. Gospodarze ostrzegają, abym nie kręcił się po balkonie, bo może mnie trafić jakaś błędna kula z faweli za skalistym wzgórzem. Jestem szczęśliwy, bo mam tu własną łazienkę, a poza tym, przy otwartym na oścież balkonie, temperatura jest nawet znośna.

Za parę dni (29 i 30 listopada) mam na Uniwersytecie Stanowym cykl trzech wykładów. Zorganizowała je Luitgarde i nawet mi za nie zapłacono. Na wykładzie o dialektach portugalskich zaszczycił mnie swoją obecnością wybitny językoznawca brazylijski, urodzony w 1928 w Recife prof. Evanildo Cavalcante Bechara (brał też udział w dyskusji!!!). Po wykładzie o sztuce polskiej Luitgarde zaprosiła mnie na obiad do restauracji uniwersyteckiej, gdzie ujrzała w przeciwległym rogu wielkiej sali swojego znajomego profesora o imieniu Ricardo. Huknęła do niego potężnym i przeciągłym „Ricaaaardo!!!”, a do mnie rzekła bez najmniejszej żenady, wręcz z nieukrywanym zadowoleniem: „Nie jesteśmy w Polsce!”.

Brasilia. Pałac Itamaraty.

Któregoś dnia (chyba jeszcze przed wykładami) skorzystałem z propozycji Nireu, aby towarzyszyć mu w podróży do miasta Vassouras, 116 km na północny wschód od Rio de Janeiro. Nireu jechał tam na jakieś sympozjum naukowe, a ja miałem obejrzeć to niewielkie miasto, położone na wysokości 436 m. Leży w dolinie rzeki Paraíba i jego okolice słyną z uprawy kawy, stąd na obrzeżach miasta kilka wielkich gospodarstw (*fazendas cafeiras*) nastawionych na produkcję kawy. Przy nich stare, stylowe siedziby ich właścicieli. Są to eleganckie, jednopiętrowe pałace lub wysokie parterowe dwory. Samo centrum miasteczka stanowi piękny, wysadzany palmami królewskimi, bardzo obszerny plac, który łagodnie opada od stojącego na szczycie dwuwieżowego kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia (1858). Pozostałe budowle, w tym zarówno ratusz, jak i Pałac Miejski, także pochodzą z tego okresu.

Zarezerwowałem wykupione w Lizbonie po bardzo promocyjnej cenie bilety lotnicze na sześć przelotów na terenie Brazylii i w sobotę, 2 grudnia, ruszyłem autobusem do São Paulo, a potem dalej, aż do Assis. Po drodze pamiętam tylko, że mijałem wybitnie brzydką sylwetkę Bazyliki Matki Boskiej „Ukazanej” (*Aparecida*), patronki Brazylii, w niewielkim miasteczku w głębi stanu São Paulo. Podróż zajęła mi cały dzień, gdyż do São Paulo jest 429 km i niemal drugie tyle z São Paulo do Assis. Zwłaszcza ten drugi odcinek dłużył mi się niemożliwie. Na dworcu autobusowym w Assis para zgarbionych staruszków:

Rafael i Balbina. Mój Boże! A 28 lat temu byli tacy młodzi i pełni życia, weseli i dowcipni! Zamieszkałem w hotelu „Onix”, z basenem na tarasie pierwszego piętra. Nazajutrz, w niedzielę, 3 grudnia, zostałem zaproszony na obiad do Rafaela i Balbiny w ich domu-fortecy, otoczonym wysokim murem. Rafael przygotował nawet nasze zdjęcia z Hiszpanii z lat 1967-68. Mieli straszne przeżycia z synem, który ciężko chorował i bardzo są zgnębieni tym faktem. Uciekła z nich cała radość życia. Stali się parą zgorzkniałych starców. Wielka szkoda! W Assis nie ma właściwie nic ciekawego. Miasto jest nowe, ulice wspinają się i opadają faliście po czerwonych wzgórzach. Ziemia tu, podobnie jak w argentyńskiej prowincji Misiones, jest ceglasto czerwona. W poniedziałek, 4 grudnia, mój wykład o hiszpańszczyźnie argentyńskiej, potem obiad w jakiejś pizzerii. Byłem też na próbie chóru studenckiego, który, pod kierunkiem Balbiny, śpiewa hiszpańskie pieśni.

We **wtorek, 5 grudnia**, wczesnym rankiem jadę do São Paulo, gdzie na dworcu autobusowym czeka na mnie profesorka Lilette na Uniwersytecie w Montpellier, pani Diva Damato. Miła i dystyngowana pani, która od razu mnie rozpoznała w tłumie, choć nigdy przedtem się nie widzieliśmy. Zostawiam bagaże w hotelu i idziemy na obiad do restauracji, gdzie cena zależy od wagi potraw. Przyzwoicie, smacznie i tanio. Pani Diva ma jakieś zobowiązania i po obiedzie żegnam się z nią. Jadę zwiedzić słynne Muzeum Sztuki przy Avenida Paulista: nowoczesny

budynek wsparty na czterech czerwonych filarach. Potem spacer tą znaną aleją, ale robi się późno, więc wsiadam do metra i podjeżdżam w stronę Placu Katedralnego. Odległości niesamowite! Dziwnym trafem zjawiłem się na tyłach Katedry Metropolitalnej XIX, gdzie podejrzana dzielnica swawolnych pań. Obszerny skwer. Nagle susami biegnie ku mnie wielki Murzyn i łapie za rękę z radzieckim zegarkiem, chcąc go ściągnąć, a ja tymczasem panicznie boję się, że mi wyrwie zawieszoną na ramieniu płócienną torbę z biletami, dokumentami, pieniędzmi! Podbiega drugi Murzyn i obaj szarpią się ze mną. Zupełnie nie wiem, jak mi się udało im wyrwać i nie stracić niczego, ale strachu najadłem się co niemiara. Bądź co bądź pierwszy i jak dotąd jedyny raz w życiu zostałem właśnie wtedy napadnięty…

Buenos-Aires. Gmach. Wodociągów.

Środa, 6 grudnia. Samolot do Recife – 2672 km – miał odlecieć o 9.30 rano, ale ma gigantyczne opóźnienie. Odleci około godziny 16-tej. Zawiadamiam telefonicznie żonę Antônia Barrosa, szwagra Luitgardy, o spóźnieniu. Dostajemy obiad na koszt linii lotniczych, a oprócz tego załatwiam sobie, także na ich koszt, taksówkę do miasta w obie strony. Bardzo sympatyczny kierowca gna ze mną do kolejnego muzeum, tym razem Muzeum Sztuki Nowoczesnej w parku Ibirapuera. Pożeramy ogromne odległości.

Z lotniska to bardzo daleko i z trudem zdążyłem z powrotem na samolot. Pod wieczór ląduję w Recife, gdzie czeka Antônio Barros. Zatrzymam się u nich w bloku, w pokoju jednej z dwóch córek. Mało wygodnie, niestety, ale cóż!

Buenos-Aires. Muzeum Sztuki Hispanoamerykańskiej.

Tego samego wieczora jedziemy do pobliskiej Olindy. To tylko 6 km. O tym mieście marzyłem od dawna. Kilka kościołów obejrzanych wewnątrz i w jednym z nich koncert, na którym zostajemy. Nazajutrz Antônio ma załatwić jakieś sprawy w Igarassu, Goiana i João Pessoa, więc korzystam z jego zaproszenia i jadę razem z nim. Cóż za wspaniałe kościoły w Igarassu! Przede wszystkim najstarszy w całej Brazylii funkcjonujący do dziś kościół Świętych Kosmy i Damiana z 1535 oraz kościół i klasztor Św. Antoniego, wybudowany pod koniec XVI, z przepięknym frontonem o trzech oknach na piętrze i trzech łukach na dole. Wewnątrz pinakoteka. Trzecim ważnym kościołem jest kościół Najświętszego Serca Jezusa, największy z nich, o szerokiej, pełnej okien fasadzie. Stoi tuż obok kościoła Św. Kosmy i Damiana. I to wszystko tonie w tropikalnej, bujnej niezwykle zieleni, wszędzie całe gęste gaje palm kokosowych. Tropik w najczystszym wydaniu! Ulice w starym centrum zachowały dawny autentyczny bruk, zwany *pé-de-moleque* (stopa

malca). W Goiana kościół Matki Boskiej Różańcowej XVIII nieco skromniejszy. Godnym zwiedzenia jest także kościół Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII-XVIII. Jednak absolutną perłą jest kościół Św. Franciszka w mieście João Pessoa, z końca XVIII. Przepiękna fasada z łukami wypełnionymi rzeźbionymi balaskami, a wewnątrz portugalskie kafelki, pokryte złotem rzeźby w stylu rokoko, malowidła. Wraz z przyległym doń klasztorem Św. Antoniego stanowi największy zespół barokowy na świecie.

Piątek, 8 grudnia. Cały dzień spędzam na zwiedzaniu miasta Recife (3,5 miliona mieszkańców). Bazylika i klasztor Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII: meble z XIX, rzeźby pokryte białym złotem. Kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia od Żołnierzy, XVIII: fronton barokowy, rzeźby pozłacane, ambona w stylu z epoki Jana V, malowidła przedstawiające pierwszą ze zwycięskich bitew pod Guararapos w 1648 przeciwko Holendrom. Kościół Matki Boskiej Różańcowej Ludzi Czarnych, XVII: obrazy z XVIII. Kościół Trzeciego Zakonu Franciszkańskiego i klasztor Franciszkański Św. Antoniego, XVII: barokowy, malowidła na kopule z XVIII, złota kaplica z XVII, jej ściany wykładane palisandrem i cedrem. Kościół Najświętszego Sakramentu, XVIII: fasada w stylu manuelińskim, ołtarze barokowe i neoklasyczne. Kościół Św. Piotra od Kleryków, XVIII, dominuje nad placem zwanym Dziedzińcem Św. Piotra, otoczonym niskimi kolonialnymi kamieniczkami. Na suficie

barokowe malowidło przedstawiające powołanie kościoła. W Muzeum Człowieka Północnego Wschodu (*Museu do Homem do Nordeste*) eksponaty związane z antropologią regionu, uprawą trzciny cukrowej, rzemiosłem artystycznym, folklorem, literaturą „sznurkową", instrumentami kultów afro-brazylijskich i niewolnictwem.

Kościół św. Aleksandra w Belém do Pará.

Sobota, 9 grudnia. Rano wyjazd na plażę Porto de Galinhas, 75 km na południe od Recife. Ładna, ale nie tak piękna jak Las Cuevas Beach na Trinidadzie, Chichiriviche w Wenezueli, czy Bahía Villa Concha w Kolumbii. Niezbyt ciekawe domki ukryte wśród palm kokosowych. Mnóstwo łodzi żaglowych. W drodze powrotnej, jeszcze przed Recife, Jaboatão dos Guararapes i kościół Matki Boskiej od Przyjemności, wzniesiony w drugiej połowie XVII na miejscu słynnych bitew pod Montes Guararapes w 1648 i 1649, w których wojsko portugalsko-brazylijskie pokonało znacznie liczniejsze oddziały Holendrów. Jest to jedyny w stanie Pernambuco kościół o fasadzie wykładanej całkowicie portugalskimi kafelkami. Na miejscu bitew stoją małe armatki na drewnianych wózkach.

Brazylia. Równina Łowców Jeleni.

Po południu, w palącym słońcu oglądam kościoły w Olindzie. To nic, że słońce tak piecze. Sceneria jest przepiękna: usytuowane na wyniosłym wzgórzu miasteczko spogląda ku turkusowym wodom oceanu w dole, a wieże licznych kościołów wyrastają z gęstwy niezwykle bujnej, ciemnozielonej roślinności. Czyż może być coś wspanialszego? A powietrze, jego świetlistość są tu nadzwyczajne! Za najpiękniejszy uchodzi w Olindzie klasztor Św. Franciszka z końca XVI, a w nim kaplica Świętych Rocha i Anny, kościół Matki Boskiej Śnieżnej i kaplica Św. Franciszka. W tej pierwszej kaplicy, ściany pokryte kafelkami portugalskimi i rzeźby aniołów. W kaplicy Św. Franciszka także kafelki portugalskie. Wspaniały jest klasztor Św. Benedykta (*Mosteiro de São Bento*), o kilka lat starszy od poprzedniego, z pięknym ołtarzem głównym i ambonami (to zwyczaj portugalski: w prawie każdym kościele są po dwie ambony, jedna naprzeciwko drugiej) rzeźbionymi w drewnie. Oglądam jeszcze klasztor Jezuitów i katedrę z tarasem widokowym na klasztor Św. Franciszka, Św. Piotra i kościół Matki Boskiej z Góry Karmel. Na koniec, kościół Matki Boskiej Opiekunki z pierwszej połowy XVI. Znakomicie wybrali sobie to miejsce mnisi i księża portugalscy w XVI wieku. Zaiste trudno o piękniejsze miejsce na ziemi!

W **niedzielę, 10 grudnia**, tuż po północy przylatuję do miasta

Belém do Pará (2089 km) i … nikt na mnie na lotnisku nie czeka! Nie widzę nikogo z moim nazwiskiem w ręku. Wypalam papierosy jeden po drugim. W krótkim czasie wypaliłem prawie całą ich paczkę. Trafiam na czarnoskórego taksówkarza, który próbuje mnie pocieszyć mówiąc, że gdy skończy pracę, zajmie się mną i na pewno mi pomoże. Około godziny czwartej nad ranem zabiera mnie do hotelu „Terminal". Okropny! Klimatyzacja huczy jak w fabryce, a mimo to gorąco. O spaniu nie ma mowy. Zjeżdżam do recepcji, by zmienić pokój i oto pojawia się mój taksówkarz, który inteligentnie zapisał sobie moje nazwisko i znalazł je w recepcji hotelu „Novotel"! Jestem mu bardzo wdzięczny. Jedziemy więc do „Novotelu". Po krótkim spaniu i śniadaniu bezskuteczna próba kontaktu z wykładowcami z miejscowego uniwersytetu. Indianin z Rondônii w oryginalnym, naturalnym wielce stroju na pocztówce w hotelowym kiosku. Wczesnym popołudniem jadę autobusem do starego centrum Belém. Miasto ma ponad 2 miliony mieszkańców. Upał niemiłosierny – 35 stopni! Nad ogromną czekoladową rzeką Guamá, południową odnogą Amazonki, słynny targ *Ver-o-Pêso*, ale już sjesta, pusto i parę osób śpi, inne jedzą jakieś tłuste potrawy. Zapach unoszący się znad kramów nie zachęca do dalszego spaceru.

Portugalska forteca z 1616, zwana Fortem Szopkowym (*Forte do Presépio*), a obecnie Fortem Zamkowym (*Forte do Castelo*), niska, z działami wycelowanymi w kierunku Amazonki. Dalej,

kilka dość ładnych kolorowych kamieniczek i plac z wielkimi drzewami mangowymi. Tych drzew jest w mieście tyle, że zasłużyło z pewnością na miano „miasta mangowców”.

Kościół Św. Aleksandra w rusztowaniach, a katedra zamknięta. Na placu przed kościołem Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII, artystyczne strącanie owoców mango: mężczyzna rzuca kamieniem uwiązanym na sznurku, po czym przyciąga go do siebie strącając owoce z wysokich konarów potężnego drzewa. Koszary Marynarki, biały Pałac Lauro Sodré i niebieski Pałac Antônia Lemosa pochodzą z drugiej połowy XIX, a styl, w jakim je wybudowano, zwie się w Brazylii cesarskim stylem brazylijskim lub późnym stylem neoklasycznym. Budynek prefektury też w tym samym stylu. Jeszcze parę ładnych kamieniczek wykładanych kafelkami, mały, skromny kościółek Św. Jana(XVIII), kościół Matki Boskiej Łaskawej, XVII i oto całe stare miasto. Na placu przed obu pałacami, wśród mangowców, pomnik „dzielnego” generała Hilário Maximiliano Antunes Gurjão, który urodził się w Belém do Pará w 1820, a umarł w 1869 na skutek ran odniesionych w „chwalebnej” bitwie pod Itororó w czasie wojny z Paragwajem.

Autobusem do nowego centrum i Bazylika Nazaretańska, 1909, kopia rzymskiej Bazyliki Św. Pawła za Murami. Sufity z miejscowego cedru, a ambony, ołtarze i posadzki marmurowe. Wszędzie złocenia i brązy, ogromne bogactwo tej udanej imitacji.

Potem Plac Batista Campos, mały park w środku miasta. Mangowce, palmy, bambusy, rzeczki, kamienne i drewniane mostki, „średniowieczna” baszta. Na pobliskim Placu Republiki, zwanym także Placem Prochowym, neoklasyczny gmach Teatru Pokoju (*Teatro da Paz*), koniec XIX. Greckie kolumny, medaliony z popiersiami, posągi. Nieprawdopodobne bogactwo osiągnięte dzięki „boomowi” kauczukowemu. Imitacja opery paryskiej. I kolejny przykład lokalnej pretensjonalności: Pałacyk Bolonia (*Palacete Bolonha*), smukła kamienica upstrzona wieżyczkami, basztami, kolumnami o głowicach niczym wielkie baranie rogi obwieszone winogronami. Obok, Centrum Izraelskie w całkiem ładnej willi i restauracja żydowska „Dania domowe” (*Comida caseira*). Niedaleko stąd w jakiejś taniej knajpce jem pizzę czy kanapkę, podczas gdy WSZYSCY obecni nie odrywają oczu od telewizora. Trwa jakiś mecz i w momencie, gdy strzelają gola, rozlega się piekielne, wręcz opętańcze wycie zgromadzonych tam zagorzałych kibiców. W życiu czegoś takiego nie słyszałem i nie chciałbym za nic w świecie ponownie usłyszeć. To było nieludzkie, zupełnie jakby poddawano ich wszystkich naraz jakimś nieprawdopodobnie wymyślnym torturom, jakby smażono ich żywcem. To się nie da opisać!!!

Naczynie z krowiego rogu.

Naczynie z tykwy do picia mate-mate burilado.

Poniedziałek, 11 grudnia. Po śniadaniu kolejna nieudana próba skontaktowania się z uniwersytetem. Autobusem na Wyspę Mosqueiro. Wjazd na wyspę przez most, który łukiem spina ją z lądem. Suchy las i drugi brzeg wyspy. Uderzają weń spore fale kawowej zatoki Marajó. Na piasku czarne głazy. Ładne plaże i wille letniskowe nad zatoką. Na końcu długiego mola statek, którym wracam do Belém. W dali małe i wielkie wyspy porośnięte tropikalnym lasem. Potem ciąg przemysłowo-portowych osiedli po lewej. I nagle wyrasta na horyzoncie Belém niczym Nowy Jork. Las wieżowców jest doprawdy imponujący. Wstąpiłem jeszcze do Kolegium Salezjańskiego na rozmowę z ojcem dyrektorem. Jestem umówiony na jutro z polskim zakonnikiem ojcem Tadeu o godzinie ósmej rano.

Wtorek, 12 grudnia. Ojciec Tadeu okazuje się miłym 85-letnim staruszkiem. Spędził 60 lat w Brazylii i czasem woli mówić po portugalsku. Już mu się trochę plącze polszczyzna. Niestety, nie zna nikogo w São Luís, dokąd wybieram się już jutro wieczorem. Ksiądz dyrektor wypytuje o uniwersytet i postanawia pojechać tam ze mną. Przedtem oglądam nieco zaniedbane wnętrze kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII, z bardzo ciekawym ołtarzem głównym: anioły, piękne posągi świętych. Później, wnętrze Katedry (XVIII) z lampionami i złoceniami w stylu opery paryskiej.

Wizyta na uniwersytecie pozytywna. Rekompensują mi częściowo

straty materialne i fundują bilet autobusowy do São Luís. Dowiaduję się też, że w hotelu mam opłacone wszystkie posiłki, sic! A ja się pętałem w niedzielę i wczoraj po jakichś barach i pizzeriach!!! Podczas obiadu w hotelu zjawia się prof. Anna Cristina Bentes da Silva, czyli osoba, która miała być na lotnisku. Twierdzi, że ona nie mogła i prosiła koleżankę, aby po mnie wyjechała, a teraz nie wie, dlaczego tamta tego nie zrobiła... Powiem tak: milusińskie Brazylijeczki, nie ma co!!! Teraz wychodzi ze skóry, aby być miła, ale tego, co ja przeżyłem w tym Belém do Pará z jej winy nie da się, niestety, NICZYM zrekompensować. Wiezie mnie na dworzec autobusowy (*Terminal Rodoviário*), gdzie kupuję bilet na jutro do São Luís. Potem Muzeum imienia Emilia Goeldiego (*Museu Paraense Emílio Goeldi*). To cały kompleks. Zwiedzam najpierw tak zwany ogród zoo-botaniczny, w którym: liście victoria-regia, tutejsze palmy *açaí (Euterpe oleracea,* po polsku euterpa warzywna*)*, których owoce są tu ulubionym przysmakiem, drzewa kauczukowe, gigantyczne puchowce, palmy oleiste, pumy, jaguary nakrapiane i czarne, węże elektryczne, manaty, żółto-zielone papugi, anakondy, węże boa, ibisy szkarłatne, harpie, czarne kajmany, ogromne trzymetrowe ryby pirarucu (*Arapaima gigas*). Dalej, akwarium, gdzie 36 sekcji z rybami charakterystycznymi dla Amazonii. Wreszcie, stała wystawa z eksponatami dotyczącymi nauk o Ziemi, botaniki, zoologii, antropologii i archeologii: wspaniałe urny, naczynia, wazy, pochówki wśród kawałków muszli na sąsiedniej wyspie Marajó –

niezwykle ciekawe!

O godzinie 19-tej, w wielkim audytorium Centrum Filologii i Sztuki na Uniwersytecie Federalnym Stanu Pará dwugodzinny wykład: “Nauczanie języków romańskich w Polsce”. Tłum studentów, mnóstwo pytań i bardzo długa dyskusja. Potem Cristina zaprasza na kolację w restauracji „Lá, em casa” (*Tu, w domu*). Piękna sceneria pod konarami rozłożystych akacji tropikalnych, oplątanych wielkimi liśćmi filodendronów, niczym w hawańskiej „Tropicanie”. Cała gama typowych dla regionu potraw: *açaí* – bordowa galaretka z owoców tutejszej palmy o tej samej nazwie (po polsku zwie się enterpa warzywna), kaczka w żółtym sosie *tucupí* (sos z manioku), liście manioku z puré z czarnej fasoli, amazońska ryba *pirarucu*, inna ryba amazońska zwana *filhote* (*Brachyplatystoma filamentosum*), *jambú* – liście rośliny o nazwie naukowej *Acmella oleracea*, które podaje się wraz z maniokowym sosem *tucupí*, a na deser lody z brązowych owalnych owoców *cupuaçu* (*Theobroma grandiflorum*), o białym miąższu.

Olinda. Kościół Matki Boskiej z Góry Karmel.

Środa, 13 grudnia. Rano do księdza dyrektora Kolegium Salezjańskiego. Załatwia mi w São Luís nocleg w Ośrodku

Wychowawczym im. Św. Józefa Robotnika, prowadzonym przez Biedne Sługi Boskiej Opatrzności (*Centro Educacional São José Operário, Pobres Servos da Divina Providência*). Potem muzeum w Palácio Lauro Sodré (białym pałacu) – trochę mebli, kryształów, dość skromnie. Znacznie ciekawsze jest muzeum w niebieskim Palácio Antônio Lemos: meble, obrazy, rzeźby w stylu retro, stiuki, marmury, Salon Zielony, Szlachecki i Różowy. Kościół Matki Boskiej Różańcowej z Caupina, zamknięty, z zewnątrz skromny, drzewa rosną na dachu. Kościół Św. Anny większy niż poprzedni, ale odrapany i skromny na zewnątrz. W środku ciekawa górna część ołtarza głównego z posągami aniołów. Kościół Matki Boskiej Łaskawej z 1640, dość ciekawy na zewnątrz – ładny fronton z dwiema wieżami po bokach, wewnątrz pozbawiony ciekawszych elementów. Właściwie prawie wszystkie kościoły w Belém do Pará są zaniedbane (na dachu często rosną drzewka i inne rośliny), fasady odrapane, z wyjątkiem katedry i Bazyliki Nazaretańskiej. Po kolacji Cristina odwozi mnie na dworzec autobusowy. Odległość do São Luís 806 km. Jadę całą noc.

Czwartek, 14 grudnia. Rano rozległe lasy palmowe, bawoły, krowy. Droga fatalna: chyba dwa razy autobus przejeżdża jakieś rzeki w bród. Z dworca autobusowego w São Luís telefonuję do Ojca Adelmo, który niedługo potem zawozi mnie na miejsce. W moim pokoiku po ścianach spacerują tłumnie jaszczurki i czarne gąsienice. Po obiedzie w stołówce, autobusem do miasta,

odległość 25 km. Miasto bardzo ciekawe, pełne starych domów kolonialnych (niektóre ich zespoły pięknie odrestaurowane). Stare brukowane uliczki opadają i wspinają się. Niektóre z nich (Rua do Giz, Rua da Palma) w górnej części mają strome i długie schody. Sporo kamienic wykładanych niebieskimi kafelkami. Pięknie położony pałac gubernatora (*Palácio dos Leões*), otoczony palmami i posążkami lwów, na wzgórzu nad morzem. Katedra pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej pochodzi z XVII, ale była kilkakrotnie przebudowywana, co nie wyszło jej na dobre. *Cafua das Mercês* to mały jednopiętrowy niebieski domek z wąziutkimi oknami. To tu odbywała się licytacja przybyłych do São Luís niewolników afrykańskich. Ciekawszy od katedry jest kościół Wygnania (*Igreja do Desterro*), z początku XVII. Uchodzi za najstarszy kościół w mieście i jedyny w całej Brazylii kościół katolicki o cechach bizantyjskich. W istocie, ma okrągłą kopułę i rzadkie w świątyniach katolickich duże ozdoby we frontonie, w kształcie odwróconych serc.

W Klasztorze Matki Boskiej Łaskawej, wielkim różowym budynku z 1645, mieści się stworzona przez byłego prezydenta José Sarneya, który stąd pochodził, Fundacja Pamięci Republikańskiej. W tym muzeum zgromadzono obrazy, medale, pamiątki, prezenty od głów państw, karykatury, rekwizyty folklorystyczne, oryginały takich znanych dzieł jak *Espumas flutuantes* (Płynąca piana) brazylijskiego poety Castro Alvesa, *Sermões* (Kazania) Ojca Antônio Vieira, oryginały dzieł Eça de

Queirós, Jorge Amado i Camilo Castelo Branco. Powrót autobusem do Cidade Operária (Miasta Robotniczego) w potwornym tłoku. Pasażerowie wchodzą do autobusu całym wielkim stadem, wszyscy naraz, rozpychają się niemożliwie, uderzają w plecy i ani pół słowa „przepraszam”. W takim tłoku jeszcze nigdy nie jechałem.

Piątek, 15 grudnia. Ojciec Reinaldo wiezie mnie do miasta. Jego najwłaściwsze centrum to Plac João Lisboa, inaczej zwany Placem Matki Boskiej z Góry Karmel (*Praça de João Lisboa, Largo do Carmo*). W istocie kościół pod tym wezwaniem stoi właśnie przy tym placu. Skromny, bez ciekawszych ozdób, z zamalowanym wewnątrz starym drewnianym sufitem. Sklep-wystawa: rekwizyty do regionalnego tańca ludowego z tego regionu (Maranhão). Taniec zwie się *Bumba-Meu-Boi* (co można by przetłumaczyć: wstawaj, mój wole!). Biorą w nim udział ludzie i fantastyczne zwierzęta, a zasadniczy jego wątek to śmierć i zmartwychwstanie wołu. Poza tym w sklepie rękopisy z XVI i XVII wieku.

Po południu lot do Brasílii via Teresina (Maranhão), 2028 km. Przylatuję około godz. 17.30 (tu różnica jednej godziny). Jonas czeka na lotnisku i jedziemy do niego, do miasta Taguatinga, 19 km stąd. Poznaję jego rodziców i siostrę Simone. Lokuję się w małym domku, gdzie będę mieszkał sam. Sympatycznie. Wieczorem jedziemy do Brasílii wraz z byłą sympatią Jonasa,

śliczną Aline. Pięknie śpiewa po polsku „Taki śmieszny jesteś pod oknem” i romanse cygańskie po rosyjsku. Wypiliśmy morze piwa w „Beirute”, najstarszym barze stolicy.

Sobota, 16 grudnia. Zwiedzanie stolicy. Nowoczesne miasto wybudowane w latach 50-tych XX na Środkowym Płaskowyżu. Od 1960 stolica Brazylii. Obecnie ma ponad 2,5 miliona mieszkańców. Dużą część budynków projektował Oscar Niemeyer. Miasto ma kształt samolotu i dostosowane jest do ukształtowania terenu i leżącego w pobliżu jeziora Paranoá. Znajdujący się nad nim Park Miejski jest największym parkiem miejskim na świecie. Wieża telewizyjna ma 224 m wysokości. Z tarasu widokowego na wysokości 75 m panorama tak zwanego *Plano Piloto*, czyli całego miasta w kształcie samolotu. Memoriał prezydenta Kubitschka, który w kwietniu 1960 dokonał inauguracji miasta: fotografie, prezenty, pamiątki, medale i w miejscu, gdzie grób prezydenta, przyćmione światło, półmrok. Teatr Narodowy Cláudio Santoro wygląda jak olbrzymi stadion. Katedra Metropolitalna jest okrągła. Tworzy ją 16 filarów na bazie koła. W intensywnie oświetlonym wnętrzu unoszą się trzy anioły, a na zewnątrz, stoją posągi czterech ewangelistów i dzwonnica.

Rio de Janeiro. Portugalski Królewski Gabinet Lektury.

Najciekawszy jest Plac Trzech Władz (*Praça dos Três Poderes*): Pałac *Planalto* (Urząd Prezydenta, władza wykonawcza), Pałac Najwyższego Trybunału Federalnego (władza sądownicza) i Kongres Narodowy (władza ustawodawcza). Tuż przy nich Panteon Ojczyzny (*Panteão da Pátria*). Pięknie prezentuje się rezydencja Prezydenta, Pałac Jutrzni (*Palácio da Alvorada*), na półwyspie wrzynającym się w jezioro, otoczony basenem, z dwiema nowoczesnymi rzeźbami kobiet przeglądającymi się w lustrze wody. Pałac Sprawiedliwości, oszklony, z wodnymi zasłonami spadającymi wzdłuż fasady, jest otoczony ogrodami i znajduje się tuż przy najszerszej na świecie alei, zwanej Osią Monumentalną. Pałac *Itamaraty*, zwany także Pałacem Łuków, o łagodnych liniach, zdaje się płynąć nad lustrem otaczającej go wody i ogrodami Burle Marxa. Jest siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Charakterystyczny dla miasta jest pomnik Dwóch Pionierów (*Monumento de Dois Candangos*), symbol dwóch pierwszych osiedleńców w Brasílii.

Uniwersytet także projektował Oscar Niemeyer. Jest długi, biegnie łukiem długości jednego kilometra. Pośrodku, między budynkami, kolorowy ogród: palmy, bugenwille i inne krzewy. Pomnik Johna Lennona i ciekawa bryła Biblioteki Uniwersyteckiej. Przy budynku rektoratu dziedziniec, którego połowę stanowi dekoracyjny basen. Wyrastają z niego palmy z koronami wystającymi nad ażurowym dachem.

Niedziela, 17 grudnia. Wyjazd do Pirenópolis, 170 km na zachód od Brasílii. Po drodze widoki wyżyny centralnej (*planalto*) i niewysokich szczytów na horyzoncie (*Serra dos Pireneus*). Cały ten region zwie się *Chapada dos Veadeiros* (Równina Łowców Jeleni). Ciemnozielony pejzaż, wspaniałe świeże powietrze. Około 30 km przed Pirenópolis ładna, szeroka kaskada o nazwie *Salto de Corumbá.* Jonas z ojcem jedzą potrawę z młodej kukurydzy nadziewanej mięsem, *pamonha*. Bardzo smaczna. W małej knajpce o nazwie *Restaurante de Dona Cida*, za drewnianym mostkiem na Rio das Almas, jemy znakomity obiad. Bogactwo sałatek (*quiabo*, czyli *quimbombó: Abolmeschus esculentus* i gorzkie *jiló: Solanum gilo*). Jeden z kelnerów nazywa się Konski, ale nie mówi po polsku.

Kościół Matki Boskiej Różańcowej, 1728, patronki miasta, stoi na wzgórzu. Z zewnątrz odrapany, walący się, z dwiema ładnymi wieżyczkami. W środku prawie pusty. Tylko kolebkowe drewniane sklepienie z ciekawym malowidłem przedstawiającym Matkę Boską. Przeważa jaskrawa czerwień i błękit. Po obu stronach łuku tęczowego dwie ciekawe rzeźby aniołów grających na trąbach. Powyżej kościoła, na Rua Nova, pojawiają się ładne kolonialne, na ogół parterowe domy, niektóre z portugalskimi oknami „gilotynowymi". W całym mieście sporo palm królewskich. Muzeum Rodziny Pompeu, XVIII, gdzie mieściła się pierwsza drukarnia, zamknięte. Na Rua Direita najwięcej pięknych kolonialnych parterowych kamieniczek,

zwanych tutaj *casarões.* W nowej willi, *Museu das Cavalhadas*, czyli Muzeum Konnych Walk Maurów i Chrześcijan, tradycji pochodzącej z epoki Karola Wielkiego. Dwa małe pokoiki, a w nich: czerwone stroje Maurów i niebieskie Chrześcijan (kapy, hełmy), maski wyobrażające woły i jaguary. W tych maskach w okresie Zielonych Świątek przemierzają miasto przebierańcy na koniach lub pieszo. Maski mają odstraszać złe duchy. Świętowanie i przemarsze zaczynają się 9 dni przed niedzielą zielonoświątkową, a kończą dwa dni po niej. Apogeum przypada na samą niedzielę zielonoświątkową.

W sklepie z pamiątkami przy Rua do Bonfim kupuję maskę jaguara (*onça pintada*) do mojej kolekcji. Kościół Naszego Pana Dobrej Śmierci (*Nosso Senhor do Bonfim*, z 1750), mały, z dwiema zgrabnymi wieżyczkami. Dokładnie z tego samego roku pochodzi niepozorny kościół Matki Boskiej z Góry Karmel, z potrójną fasadą. Obok mostu zwanego *Meia Ponte,* siedziba radców miejskich (*Câmara de Vereadores*).

Porto Alegre. Maska o twarzy Indianina.

Poniedziałek, 18 grudnia. Dalszy ciąg zwiedzania stolicy. Najpierw jezioro Paranoá, a nad nim mangowce, wysokonogie ptaki *quero-quero,* zwane w Urugwaju *tero: Vanellus chilensis*, białe czaple. Klub jachtowy po przeciwnej stronie. Potem Ambasada Polska, Pałac *Jaburu* – siedziba wiceprezydenta. Nazwa oznacza wielkiego białego ptaka z czarną głową i szyją,

takiego gigantycznego bociana (*Jabiru mycteria*); w Wenezueli zwie się *garzón soldado*. Mały, drewniany kościółek z niskimi wieżyczkami i pasem rozetek pod dachem, najstarszy w Brasílii. Zbudowany dla jej budowniczych w latach 50-tych XX. Wewnątrz świątyni Don Bosco piękne niebieskie i różowe witraże tworzą przyjemny półmrok. Ten święty włoski miał przewidzieć w 1883 powstanie tego miasta: „Między 15 a 20 równoleżnikiem, w miejscu, gdzie utworzy się jezioro, narodzi się wielka cywilizacja. To tu będzie ziemia obiecana".

Świątynia Dobrej Woli (*Templo da Boa Vontade*) ma kształt piramidy o siedmiu bokach. Na jej wierzchołku umieszczono największy kryształ znaleziony w Brazylii („piramidy są zdolne do uchwycenia i skoncentrowania w sobie pozytywnej energii"). Jest to ogólnobrazylijska siedziba tak zwanego Legionu Dobrej Woli i ze względu na swą charakterystykę ekumeniczną przyciąga wiernych różnych religii. Stanowi najczęściej odwiedzany obiekt w mieście. Galeria Sztuki Świątyni Dobrej Woli to marmurowa ściana z wypisaną na niej filozofią Ideału Dobrej Woli, autorstwa założyciela świątyni, Alzira Zarura (1914-1979). Parlamundi – Światowy Parlament Braterstwa Ekumenicznego. Mieści w sobie Międzynarodowe Forum Posiedzeń: dwa audytoria, Salę Plenarną im. José de Paiva Netto (przewodniczącego Legionu Dobrej Woli), Skrzydło Studentów z biblioteką, stołami do studiów, komputerami, Salon reprezentacyjny i restaurację. Ten zespół architektoniczny tworzy jeden rząd: obok siebie stoją

Parlamundi, siedziba Legionu Dobrej Woli w Brasílii i Świątynia Dobrej Woli.

Jonas i jego ojciec przywożą mnie w ostatniej chwili na lotnisko w Brasílii. Lot do Kurytyby dość krótki, 1366 km. Gdy z wózkiem wyładowanym bagażami stoję przy wyjściu z budynku lotniska, mijają mnie obojętnie Don Quijote, czyli Paulo Filipake (Filipiak) i Sancho Panza, czyli ksiądz Jerzy Morkis. Błądzą po budynku lotniska, aż decyduję się im ujawnić. W hotelu, gdzie mieszkał we wrześniu Dembicz z żoną jedna doba 60 reali. To nie na moją kieszeń. Telefonują do konsula, pana Marka Makowskiego, który radzi skontaktować się z Siostrą Fabiolą z Zakonu Sióstr Rodziny Marii. Na szczęście, Siostra Fabiola godzi się mnie przygarnąć. Piwo w hotelu, a potem u Filipiaka. W klasztorze miła Siostra Fabiola lokuje mnie w apartamencie za ołtarzem. Śniadania będę jadł w klasztorze, a pozostałe posiłki w polskim klubie União Juventus, co załatwi mi Paulo Filipiak.

Wtorek, 19 grudnia. Rano Siostra Fabiola wiezie mnie do Konsulatu Polskiego. Konsul radzi jechać na nagrania albo do Colônia Murici (ksiądz Józef Bestwina) – gorszy wariant, albo do Santana, 500 km na południowy zachód od Kurytyby (ksiądz Daniel Niemiec), lepszy wariant. Pierogi i placki kartoflane na obiad w União Juventus. Wieczorem kolacja u przemiłych Państwa Kawków. Dostaję w prezencie polską wersję przewodnika po stanie Paraná, w tłumaczeniu pana Kawki.

Piękne fotografie.

Środa, 20 grudnia. Z Siostra Fabiolą na dworzec autobusowy, skąd autobusem do União da Vitória. 4 godziny męczącej jazdy. Czekam jeszcze godzinę na autobus do Santana, gdzie zjawiam się o 17-tej. Na przystanku siostra polskiego pochodzenia. Kawa plus tutejszy sernik. Piękna okolica: zielone wzgórza i wyniosłe „piniory" (araukarie). W dolinie rozproszone domostwa. Prawie wszyscy mówią po polsku. Około 19-tej przyjeżdża ksiądz Daniel Niemiec, w długiej, białej sutannie. Przemiły, przystojny człowiek. Po kolacji nagranie u Zyka (Zygmunta Gajasa), 3 km stamtąd. Jego rodzice mówią ładną, staranną polszczyzną. Przy wyjściu wielka biało-czarna żaba (*sapo, Dedrobates tinctorius*).

Czwartek, 21 grudnia. O 7.30 wyjazd do Cruz Machado. Im bliżej celu, tym ładniejsze widoki: piękne doliny, a na horyzoncie malownicze góry. Nagrania z Zygmuntem Lipińskim, z babcią Iwańczukową (ponad 90 lat) i jej córką, Luisą Iwańczuk Marchal (52 lata) oraz z panią Władzią Domiańską-Otto (90 lat). Język pani Luisy oraz pani Władzi niesłychanie ciekawy i malowniczy. U pani Władzi ptaki w klatkach. Wracam do Santany i po kolacji video kasety z uroczystości lokalnych: dożynki, tańce i śpiewy ludowe. Teraz dowiaduję się, że ksiądz Daniel Niemiec umarł w 2006 (urodził się w Krzyszkowicach, powiat myślenicki, w 1924 r.).

Brazylijscy parafianie wybudowali mu piękna kaplicę, gdzie został pochowany. Istnieje też plac jego imienia.

Piątek, 22 grudnia. U pana Wróblewskiego oglądam maszyny do suszenia (*sapecadores*) i przeróbki yerby mate. Ciekawa rozmowa z Franciszkiem Kazimierzem Szymankiem z Rio do Banho. Po obiedzie powrót do Kurytyby. Na dworcu autobusowym nie ma Siostry Fabioli. Piekło! Tłum, spaliny, zgiełk. Na gapę autobusem do klasztoru Sióstr Rodziny Marii (*Irmãs da Sagrada Família de Maria*).

Recife. Garnizonowy kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia.

Sobota, 23 grudnia. Po śniadaniu czytam i piszę pamiętnik. Z prof. Reginą Przybycień idziemy na obiad do restauracji włoskiej *„Mezza Notte”*. Bystra, inteligentna i miła ta pani Regina. Zna świetnie angielski. Chce robić badania porównawcze nad literaturą emigracyjną polską w Brazylii i w Stanach Zjednoczonych. Talerz pełen różności: *palmito*, salami włoskie, różne sery, a potem lasagne. Po obiedzie Park im. Jana Pawła II i skansen polskiego budownictwa ludowego w Paranie. W sklepie u pani Danuty kupuję drewniany wazonik dla żony Nireu. Pisanki drogie. Potężny deszcz. Jedziemy do garsoniery pani Reginy.

Oglądam zdjęcia z pobytu Miodunki w Brazylii i pomagam pani Reginie wypełnić formularze w sprawie stypendium w Instytucie Badań Polonijnych w Krakowie. Przychodzi młody grubas Rogélio Piasecki. Był w Krakowie 10 lat i pod koniec pobytu założył prywatne biuro turystyczne. Jego ojciec polskiego pochodzenia, a matka, według jego własnych słów, „kundel" (*vira-latas*). Pijemy *cachaçę* i whisky.

Niedziela, 24 grudnia. Rano Mariano Kawka wiezie mnie do Colônia Murici, 25-30 km na południowy wschód od Kurytyby. O 10-tej msza polska, którą odprawia ksiądz Turbański, historyk polonijny, badacz organizacji kościelnych w Brazylii i Argentynie, 80-letni, dobrze wyglądający i bystry, dowcipny staruszek. W głównej nawie kościoła stacje Drogi Krzyżowej z napisami po polsku, a w bocznym ołtarzu Matka Boska Częstochowska. Po mszy obiad już z udziałem bardzo miłego i życzliwego księdza Józefa Bestwiny. Po obiedzie Mariano Kawka wraca do swojego Pinhais, a ja z księdzem Bestwiną jadę do małej, drewnianej kaplicy w Antinha, u stóp *Serra do Mar*, 18 km od Colônia Murici. Pagórkowaty, pofalowany krajobraz: araukarie, zagony kapusty, pola kukurydzy, pasące się konie… Msza z udziałem Polaków, ale większość to miejscowi Brazylijczycy. Ksiądz wita mnie specjalnie pod koniec mszy. Śliczna Marysia, już zamężna blondyneczka, miejscowa nauczycielka.

Odwiedzamy 80-letniego Adolfa Greboge (Grzybosia). On z żoną i

córki mówią po polsku. Przy stole gęsty rój much. Żeberka, tłusta kiełbasa, ciasto, kawa. Tradycja uroczystej wieczerzy wigilijnej nie istnieje. Adolfo pokazuje mi całe obejście: kuźnię, oborę, stodołę, sad. Na jednym z drzew, przy samym pniu, zwiędłe czarne kulki. To resztki tych wspaniałych soczystych owoców *jabuticaba* (*Myrcia cauliflora*), które jadłem nazajutrz na obiedzie u sióstr: czarne, lśniące kulki, w środku biały miąższ i jedna, dwie drobne pestki.

Pasterka – *missa do Galo* – o 22-ej. Bardzo ładna i uroczysta. Chór starszych Polaków śpiewa polskie i brazylijskie kolędy (w tym tę najbardziej znaną *Noite linda, noite bela…* – O, śliczna, prześliczna nocy…). Te brazylijskie śpiewają wszyscy. Araukarie pełnią rolę choinek. Po pasterce szampan, orzechy włoskie, migdały. Miła bardzo niespodzianka: świąteczne, gwiazdkowe prezenty od księdza Bestwiny – skarpetki i pudełko czekoladek „Nestle" (przekazałem je pani Kawczynie i jej córce). W telewizji bardzo zmęczony papież.

Poniedziałek, 25 grudnia. Przed ósmą rano jadę z księdzem Bestwiną do Malhada, 12 km od Colônia Murici. Tam o ósmej msza w dość dużym kościele. Pod koniec znów ksiądz pięknie mnie wita, a ja dziękuję po portugalsku. Po mszy nagrania rozmów z jej uczestnikami, ale kłopoty techniczne z nagrywaniem. Duszno, parno, deszcz wisi w powietrzu. W drodze powrotnej zdjęcia różowych kwiatów datury (*trombeteira,*

trombetas do Juízo Final) na szpalerze krzewów u *cabocla* (metyskiego wieśniaka) w czarnym kapeluszu. Przed obiadem u sióstr dzielimy się opłatkiem. Dopiero w Boże Narodzenie! „Oni nie bardzo wiedzą, co zrobić z tym opłatkiem", jak mówią obaj księża. Kolędy po polsku i portugalsku. Miły nastrój, świetny obiad. Od siostry Brazylijki, która dyrygowała śpiewaniem na pasterce, dostaję w prezencie taśmę z kolędami brazylijskimi. Około 14-tej odjazd do Kurytyby. Duszno straszliwie. O 18.10 pan Kawka wiezie mnie na lotnisko. Ledwie przyjechaliśmy, leje jak z cebra. Siedzimy w samochodzie dobre pół godziny. Piwo w restauracji na górze.

Na lotnisku w Porto Alegre (z Kurytyby 716 km) dwaj młodzi chłopcy z Centrum Społecznego imienia Ojca João Calábria. Noc, ale po drodze widać wielką rzekę Guaíba, która na południu tworzy ogromne jezioro Lagoa dos Patos. Jedziemy do klasztoru położonego prawie 20 km od lotniska, na przeciwległym końcu wielkiego miasta. Pokoik skromny, z prysznicem, ale WC na końcu korytarza.

Colonia del Sacramento. Urugwa.j

Wtorek, 26 grudnia. Na śniadanie ciasto, kawa, banany i… mango! Brat Noivar odwozi mnie na lotnisko w towarzystwie jakiegoś Mulata z Bahia. Po drodze kaplica Matki Boskiej Jasnogórskiej (*Capela Nossa Senhora do Monte Claro*) i krótka, lecz treściwa rozmowa z księdzem Leonem Lisiewiczem. Ustalamy datę mojego przybycia do Porto Alegre w drodze powrotnej na 17 stycznia. Przyjedzie po mnie na dworzec autobusowy taksówką. Odległość do Uruguaiana to zaledwie 634 km. Podczas lotu (jest to ostatni odcinek mojego Brasil-Pass) postój w Urugwaju, na lotnisku w Rivera: jakaś zupełna dziura

pośród z lekka pofalowanej, zielonej równiny. Tu i ówdzie małe kępy drzew, jeziorka, pasące się bydło. Z lotniska w Uruguaiana stopem (*de carona*) do miasta. Długo czekam na autobus „*circular*" do argentyńskiego Paso de Los Libres w prowincji Corrientes, po tamtej stronie rzeki Uruguay. Obserwuję bardzo malownicze stroje trzech *gaúchos*: brązowe buty z cholewami, brązowe lub niebieskie bufiaste spodnie *bombachas*, nabijane metalowymi, srebrnymi ozdobami *rastras*, czyli szerokie pasy, niebieskie koszule, niebieskie lub różowe chustki zawiązane „po harcersku" na szyi, czarne kapelusze ze sznurkiem z tyłu lub pod brodą – piękny, elegancki strój! Niestety, nie udało mi się zrobić zdjęcia!

Rozklekotanym, starym autobusem powolny objazd tego przygranicznego miasta: sklepy, sklepiki, neogotyckie kościoły, małe, dwukołowe wózki (*fretes*) ciągnione przez konie. Przejazd przez most na rzece Uruguay, Presidente Getúlio Vargas – Presidente Justo. Jak mi się wydaje, nie ma kontroli dokumentów. Wysiadam przy dworcu autobusowym (*terminal de ómnibus*) w Paso de Los Libres. Ten pierwszy kontakt z "moją" Argentyną sprawia bardzo złe wrażenie. Brud, żebrzący nachalnie mali sprzedawcy herbatników i cukierków – Indianie Guaraní z prowincji Corrientes, o bardzo śniadej cerze i przy tym bardzo brudni. W knajpce przy dworcu przez ponad pół godziny kucharka nie zdążyła przyrządzić omletu, a byłem jedynym klientem! O godz. 14-tej telefon do księdza Kudleka z Pyskowic, z

prośbą, by w Posadas wyjechał po mnie na dworzec autobusowy. Odjeżdżam o 16-tej. Obsługa autobusu niegrzeczna (fatalnie traktują bagaż i rzucają go do bagażnika), a wewnątrz ziąb. Nie skutkują moje wielokrotne prośby o zmniejszenie klimatyzacji. Po drodze brzydkie miasteczka z tymi domami – pudełkami, o opadających z jednej strony dachach. Wokół brud i błoto. Na barach napisy: *Minutas* (szybkie, barowe posiłki) i *Picolé* (płynne lody, zamrażane potem w zamrażalniku). Inny napis często się pojawiający to *Gomerías,* czyli wulkanizacja. Jedyna rzecz godna uwagi: triumfalna biała brama przy wjeździe do miasteczka Yapeyú, gdzie dom (*casa histórica*), w którym w 1778 urodził się generał José de San Martín.

Plener prowincji Corrientes to najbardziej płaska i bezkresna równina, jaką można sobie wyobrazić, z małymi kępami drzew od czasu do czasu. Rzadziej mokradła (*bañados*) i czaplarnie (*criaderos de garzas*) w najbardziej wilgotnych miejscach. Te bardziej suche wzdłuż szosy (*calzada*) okrutnie wypalone wraz z wielkimi drzewami. Stada bydła i koni. Autobus zatrzymuje się przy każdym prawie domostwie, przy każdej polnej drodze prowadzącej w głąb pampy. Objeżdża dokładnie wszystkie miasteczka: Yapeyú, La Cruz, Alvear, Santo Tomé, Virasoro. W Apóstoles mignął mi wielki napis: *Grabovieski*.

Parę minut po 22-ej wreszcie Posadas, po sześciogodzinnej podróży. Ksiądz Kudlek nie ma dla mnie locum. Po ponad

godzinnych poszukiwaniach śpię u Francisco Tarnowskiego, wiceprezesa Wspólnoty Polskiej (*Comunidad Polaca)*, przy calle Florencio Sánchez 3456. Dowiaduję się od niego, że nauka języka polskiego nikogo nie interesuje i że de facto w Polskim Klubie w Posadas nie ma żadnej działalności. Pan Dzidek Styczyński umarł tydzień temu, a wdowa po nim, Karola Szychowska, od prawie dwóch lat jest sparaliżowana i porusza się na wózku inwalidzkim. Zaiste hiobowe wieści! Takie zmiany po pięciu zaledwie latach!

Środa, 27 grudnia. Wcześnie rano budzi mnie hałas rozmów i trzask narzędzi. Francisco Tarnowski i jego robotnik budują chodnik (*veredę*) z cementu na podwórku. Po skromnym śniadaniu piszę pamiętnik. To, co wczoraj zobaczyłem i o czym się dowiedziałem, napawa mnie smutkiem. Żona Tarnowskiego, Dora Rodríguez, jest dla mnie dość miła. Ułatwiła mi kontakt z Tamarą Buss, która właśnie telefonowała. Jej ojciec, przemiły staruszek, umarł w kwietniu tego roku…

Po południu z córką Dory w centrum Posadas. Wymieniam pieniądze, zwiedzamy plac przed Zarządem Prowincji (*Casa de Gobierno*). Budynek Zarządu Prowincji to różowy, parterowy pałacyk z kolumnami. Nowa katedra niezbyt ciekawa. Na Placu San Martína jego pomnik na koniu, obok, wielki budynek prywatnego Instytutu im. Ojca Montoya (*Instituto Padre Montoya*), gdzie studia poświęcone Indianom Guaraní. Kupuję

bilet do Esperanza na jutro, na godz. 5.15. Wieczorem rozmowa z Bernardo Federico Neumannem. Uczy sztuk plastycznych na Universidad de Misiones. Trochę milszy wydał mi się ten Tarnowski, niż na początku.

Czwartek, 28 grudnia. Tarnowscy budzą mnie o 4.50. Budzik nie zadzwonił, albo byłem tak śmiertelnie znużony, że nie słyszałem. Pakuję się w popłochu. *Remise* (cóż to za słowo!), czyli tania taksówka, już czeka. Wysiadam z niej, a autobus już rusza! Podróż trwa do 10.10, czyli pięć godzin. Oglądam krajobraz: Fátima, San Ignacio Miní, Gobernador Roca, Jardín de América, Puerto Rico, Eldorado… i przysypiam często gęsto.

Po przyjeździe do Esperanza bezskutecznie usiłuję skontaktować się telefonicznie z Tamarą. Mąż jednej z pań niemiecko-szwajcarskiego pochodzenia w pobliskim biurze wiezie mnie do Tamary. Nie ma nikogo i sąsiedzi nic nie wiedzą. Jedziemy na czakrę Bussów. Rozpoznaję drogę na szosie przed Wandą. Zajeżdżamy i moim oczom ukazuje się straszny widok: pogorzelisko, zgliszcza ze sterczącym kominem pośrodku, oto, co zostało z pięknego wiejskiego domu Bussów. Spłonął doszczętnie pod koniec sierpnia tego roku, a pani Marta Bussowa, matka Tamary, w ostatniej chwili zdążyła wyskoczyć przez okno na rzucone przedtem kołdry i poduszki. Spłonęło wszystko. Ocalały tylko budynki gospodarcze i mały domek na prawo od bramy z dużymi literami R(einchold) B(uss).

Podziwiam pogodę ducha Tamary i jej matki, które serdecznie mnie witają. W całym domku unosi się zapach gotowanej kiszonej kapusty, którą niedługo potem jemy na obiad z jakąś kiełbasą i kluskami. Po obiedzie, wstrząśnięty, wysłuchuję opowieści Tamary. Po kąpieli próbuję spać, ale po dwóch godzinach budzę się zlany potem. Pani Bussowa zaprasza na kawę i ciasto. Wręczam jej opoczyński bieżnik i serwetki. Tamara i jej antypatyczny mąż niemiecko-paragwajskiego pochodzenia wypuszczają krowy na pastwisko. Mają teraz 80 sztuk. 27 ukradli im niedawno. Na horyzoncie piękna misjoneńska dżungla. Jedziemy do polskich sióstr do Wandy (Zakon Dominikanek Misyjnych, z główną siedzibą w Zielonce pod Warszawą). Miła rozmowa z siostrą Asuntą i z młodszą Maksimilianą. Jutro o 17-tej u nich wieczór kolęd. Zapraszają. Ich sąsiad, pan Kazimierz, odwozi mnie do opuszczonego domostwa Bussów. Mówi po polsku, ale po tutejszemu, z trudnościami. Nauczył się od matki. Mówi, że mąż Tamary to drań i że rodzina chciała upiec panią Bussową, żeby otrzymać spadek. Ona boi się tu spać, śpi u syna. Nie dziwię się jej. Cisza wokół bezmierna, z cykaniem insektów, przerywana wyciem nocnego ptaka *urutaú,* szczekaniem psów i podejrzanymi trzaskami. Z duszą na obu ramionach idę spać.

S. Luís do Maranhão. Fontanna Ribeirão.

Piątek, 29 grudnia. Przed obiadem rozmowa z panem Jeleniem i jego żoną pochodzącą z Cerro Azul, w tej samej prowincji Misiones. Mieszkają tuż koło najstarszego, drewnianego kościółka w Wandzie, gdzie ksiądz Zimny odprawiał msze. Obiad z panią Bussową, córką Tamary Letycją i służącą Metyską guarańską. Po obiedzie, za ogrodzeniem mignęła mi saracura (*Aramides saracura*), duży brązowo-szary ptak o wysokich, czerwonych nogach i czerwonych oczach. Nagranie u pani Jejerowej z Firków, spod Włodzimierza Wołyńskiego. Potem wieczór kolęd u sióstr w Wandzie. Jest Konertowa i Krzynówkowa, między innymi. Razem około 25 osób. Pełno ciast, musujący napój alkoholowy z ananasów i sidra. Umawiam się na jutro z panem Stefanem Firką i jego młodszym bratem. Pan Stefan z żoną odwożą mnie na Bussowe pustkowie.

Sobota, 30 grudnia. Rano pan Stefan Firka wiezie mnie do pana Jana Welcza. Nagrywam w jego wielkim domu na skraju Wandy. Później przychodzi jego żona, Maria Kisiel spod Grodna. Przed 12-tą na obiad do państwa Firków. Żona pana Stefana, pani Wanda Orzeł, urodziła się w Puerto Wanda w 1939. Mają ośmioro dzieci. Ich domek stoi nad rzeką Tupicuá, wśród wielkich sosen kanadyjskich. Po obiedzie straszny upał i *modorra*, maksymalne znużenie. Nagranie nieudane, niestety! A szkoda, bo pani Wanda ciekawie opowiadała o zabijaniu węży, a pan Stefan, o muzeum zoologicznym pana Chudego w Lanusach i w Parku Regionalnym *Uruguaí*. Ładnie opisywali mi niektóre

zwierzęta, na przykład, „mrówkowiada”. O zmierzchu spacer nad Tupicuá. Teraz, po kąpieli, siedzę i piszę, a pot leje się ze mnie ciurkiem (o godz. 22.10 !!!).

Niedziela, 31 grudnia. Całe przedpołudnie przesiedziałem u pani Bussowej i dopiero po sjeście poobiedniej jedziemy wszyscy do państwa Korżaków do Wandy. Pochodzą ze wsi Babice pod Biłgorajem i są Ukraińcami (ona jest siostrą Konertowej). Mówią dobrze po polsku. Pani Korżakowa prawie cały czas prowadzi dialog po polsku z panią Bussową. Nie wiedziałem, że doña Marta aż tak dobrze radzi sobie po polsku. Mnóstwo jadła i napojów: kanapki, pizza z jakimś pomarańczowym smalcem, whisky, piwo bezalkoholowe i sidra. W tej chwili odleciał z krzykiem *urutaú*, który przedtem smętnie zawodził: „Oj, joj, joj, joj, joj, jak mnie boli!” (wymawiać śpiewnie i wolno). Przyznam, że takie zawodzenie, gdy się siedzi w pustym domu o godz. 21. 45, brzmi nieco niepokojąco… Otóż ptak ten nie odleciał i nadal zawodzi niemal ludzkim głosem!

Śpiewaliśmy u państwa Korżaków po polsku, rosyjsku i ukraińsku. Było miło. Kupuję bilet na pojutrze do Bujnesu (Buenos Aires). Wyjazd o 13-tej z Wandy. W Bujnesie będę około 8-ej rano następnego dnia, czyli we wtorek, 3 stycznia. Podwożą mnie do pana Władysława Firki, gdzie spędzę wesoło i przyjemnie cały wieczór sylwestrowy, aż do drugiej nad ranem. Pani Firkowa wita mnie serdecznie. Podziwiam piękny, duży dom

i ogród z ciekawą roślinnością: *catalpa bignonioides* o szerokich, wielkich liściach, kamelie, filodendrony, tung z orzechami. Poznaję całą urodziwą rodzinę: czterech synów z żonami i dziećmi i niezamężną córkę. Bardzo kulturalnie i miło. Piwo, wino białe, sidra, świetne ciastka (*masitas*). Śpiewam, tańczę, wygłupiam się. Tylko pan Ladislao dotrzymuje mi kroku. Rysio i jego śliczna *morocha* (brunetka), cóż za piękna para! Oboje, a także Rubén interesują się polskim kinem i dużo o nim wiedzą. Niestety, straszne nieszczęście miało miejsce kilka lat później: Rysio i jego żona zginęli w wypadku samochodowym. Tragedia nie do opisania!

O północy straszny huk, strzały, sztuczne ognie, rakiety. Dzieci budzą się z płaczem, psy wystraszone nie wiedzą, co się dzieje… A ja myślałem naiwnie, że w takiej Wandzie będzie spokojnie. Pan Władysław odwozi mnie na Bussowe pustkowie i umawiamy się na ósmą rano nazajutrz na wycieczkę do wodospadów Iguazú.

Poniedziałek, 1 stycznia 1996. Pan Władysław przyjechał bardzo punktualnie, ale ja jeszcze piorę w łazience. W efekcie wyjeżdżamy o 8.30 i za pół godziny jesteśmy w Parku Narodowym Iguazú. To tylko 35 km. Już jest gorąco. Idziemy ścieżką górną – jako tako, ale na dolnej, koło wodospadu Dwie Siostry (*Dos Hermanas*), zaczyna się upał nie do zniesienia: koszula do wyżęcia. Zdejmuję i chodzę już do końca bez koszuli.

Fotografuję. Przy punkcie widokowym z palmami na pierwszym planie, stadko 4-5 ostronosów (*coatíes*), śliczne zwierzątka, na wpół oswojone. Zaczyna się najciekawsza partia: wodospady Bozzetti i San Martín. Pył wodny. Ogromne zwały wody. Kupiłem kartkę dla Ojca Augustyna Zimnego i papierosy „Particulares". Nad nami piękna niebiesko-żółta *urraca* (*Cyanocorax chrysops*) odpędzana przez dwa szare ptaki z ich terenu. Przedtem, na górnej ścieżce, śmignął nad potokiem cudowny niebieski ptak z długim ogonem, zwany *bailarín azul* (*Chiroxiphia caudata*), czyli "niebieski tancerz" i trzy wrzeszczące zielone papugi. Obsypane ognistymi kwiatami tropikalne akacje, zwane w Argentynie *chivatos i ambay* (*Cecropia adenopus*), który na Kubie zwie się *yagruma*, o wielkich palczastych, białych u dołu liściach, filodendron oplatający wokół pień jakiegoś drzewa, to okazy flory, które zwróciły moją uwagę.

S. Luís do Maranhão. Kamienica wyłożona kafelkami.

Odjeżdżamy tuż przed godziną 13-tą, a więc byliśmy przy wodospadach prawie cztery godziny. Wystarczy. Dziś upał przeszedł samego siebie. Rozpalonym samochodem, rozpaloną szosą jedziemy przez rozgotowaną w słońcu puszczę misjoneńską do Puerto Libertad, tuż przed Wandą. Aleją ovenii (*Hovenia dulcis*) dojeżdżamy do pełnej wirów Parany. Po paragwajskiej

stronie domki na wysokim brzegu. To Puerto Irala. Na czystej – o dziwo! – wodzie tej bardzo głębokiej rzeki (ponad 80 m) kolebią się małe stateczki, które przewożą ludzi z Argentyny do Paragwaju i vice-versa. Jeszcze pod górę bardzo kiepską drogą i docieramy do *„capilla histórica”* (historycznej kaplicy) z cudowną Matką Boską z Itatí, patronką Corrientes, przy drzwiach głównych. Ociekam potem i mój podziw dla ludzi, którzy tu przyjechali z Europy, żeby wyrąbać kawał puszczy i mieszkać w tym piekle, osiąga swoje apogeum. Pod wieczór spacer z panią Martą Bussową do domu jej syna Dago (Dagoberta), lekarza w Eldorado. Ona tam chodzi spać.

Wtorek, 2 stycznia 1996. Podróż do Bujnesu – 17 godzin. Odległość: 1370 km. Postoje: San Ignacio Miní, Paso de Los Libres (kolacja: kotlet panierowany z cielęciny, puré z kartofli, piwo), Concordia.

Środa, 3 stycznia. Przyjeżdżam do Bujnesu o 8.30 rano. Za godzinę pojawia się pan Franio i taksówką jedziemy do niego na ulicę Sarmiento. Gorąco strasznie. Nie mogę zasnąć mimo zmęczenia. Po południu do Akademii (żargonu) Lunfardo. José Gobello zaprasza na jutro na kolację, w towarzystwie Amerykanina Simona Colliera, autora monumentalnej monografii o tangu, za jedyne 96 dolarów! Spacer do Avenida de Mayo i potem aż do Różowego Domu (*Casa Rosada*), na Plaza de Mayo, gdzie gwałtowna burza i ulewa wpędzają mnie do metra.

Czwartek, 4 stycznia. Rano Ambasada RP. Rozmowa z Leszkiem Hyjkiem i z Czubą. Kawa. Stiuki w hallu. Instytut San Martína (*Instituto Sanmartiniano*), kopia Grand- Bourg pod Paryżem, gdzie San Martín mieszkał pod koniec życia. Plac Chile z pomnikami O'Higginsa, Gabrieli Mistral i Pabla Nerudy. Ponownie stado pięknych psów prowadzonych przez młode dziewczę. Obiad u pana Frania w towarzystwie pani Ireny Żelazek, która opowiada o swojej wycieczce do wodospadów Iguazú. Spacer ulicą Suipacha w stronę Muzeum sztuki Hispanoamerykańskiej im. Isaaca Fernándeza Blanco. Stylowy, neokolonialny pałac z mauretańskim drewnianym balkonem i eleganckim portalem z salomonowymi kolumnami, wybudowany w latach 20-tych XX (architekt Martín Noel). Potem do Alei 9 Lipca i metrem do Academia Porteña del Lunfardo, gdzie Simon Collier już czeka. Sześć kwadr ulicą Santiago del Estero i oto *Ristorante Italiano „Rosano"*, gdzie znakomite czerwone wino i twardy befsztyk. Gadu, gadu o Menemie i Evicie. Gobello spotkał się z nią, gdy była już chora i *cadavérica* (o trupim wyglądzie), ale zrobiła na nim ogromne wrażenie. Pieszo do pana Frania. Potężny kawał.

Piątek, 5 stycznia. Wymieniam pieniądze w rejonie ulicy San Martín. W Buquebus w alei Córdoba informuję się co do rozkładu jazdy statków do Urugwaju. Chcę płynąć w niedzielę, 14 stycznia, o 8.45. Bulwar południowy nad La Platą (*Costanera Sur* i fontanna Nereidy (*Las Nereidas*), z pięknymi rzeźbami, których

autorką jest Lola Mora. Autobusem 4 do Constitución, a stamtąd na Plac Włoski (*Plaza Italia*) z romantycznym pomnikiem Garibaldiego na koniu. W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów na ulicy Serrano 1818, prezes pan Franio. Rozmowa z panem Spałą z Łodzi. Bliżej Placu Włoskiego, w kawiarni Domu Polskiego, pan Stachura i pan Zygmunt Borkowski, który właśnie wrócił z Polski.

Sobota, 6 stycznia. Autobusem 68 do dzielnicy Belgrano, za Plaza Italia. Przy ulicy Juramento 2291 Muzeum Sztuki Hiszpańskiej im. Enrique Larreta (*Museo de Arte Español Enrique Larreta)* w pałacyku w stylu neokolonialnym z drugiej połowy XIX. Zamknięte w styczniu. Na nic próby nakłonienia stróża, by mi pozwolił je obejrzeć. Po drugiej stronie ulicy, Muzeum Sarmiento (*Casa Histórica Museo de Sarmiento*) w domu z kolumnami i wieżą zegarową, w remoncie. Ulicą Anchorena do Las Heras. Przecinam Aleję Wyzwoliciela (*Av. Libertador*) i po raz drugi zwiedzam Muzeum Motywów Argentyńskich im. José Hernándeza (*Museo de Motivos Argentinos José Hernández*): srebrne noże, naczynia do picia mate i sztuka ludowa – poncza, ceramika, wyposażenie sklepików wiejskich.

Aleją Wyzwoliciela do Placu Urugwaju, gdzie pomnik Artigasa w ponczo. Muzeum Sztuk Pięknych, Paseo de Las Recoletas. Centrum Kulturalne z wystawą jakichś wydumanych

awangardowych malowideł (c*ronopios*). Dalej, piękna kolonialna Bazylika Matki Boskiej z Kolumny (*Basílica del Pilar*), XVIII. Ogromne drzewo *ombú* (*Phytolacca dioica*), "Café de la Paix", mimy, pierroty. Ulicą Quintana. Kupuję *La novela de Perón* Tomása Eloya Martíneza. Juncal 1224, czyli adres występujący w słynnym tangu „W półmroku" (*A media luz*) – nowa, nieciekawa wielopiętrowa budowla. Aleja Santa Fé, Talcahuano, Corrientes – na rogu wspaniała księgarnia „Fausto". Dalej ulicą Talcahuano i restauracja „Los Teatros" pod nr 324: cudowna, wielka, ściany obwieszone portretami aktorów argentyńskich z I połowy XX: Lola Membrives, Adolfo Vacarezza… I jeden, dwa stoliki zajęte na całą wielką salę. Tak jest wszędzie. Piękne lokale świecą pustkami. Przed Corrientes, wzdłuż Talcahuano, wielki skwer na tyłach Teatro Colón, który zwiedzam w środku – niesłychanie elegancki, wręcz wytworny, kolumna z pomnikiem generała Juana Lavalle (1797-1841) i Pałac Sprawiedliwości. Restauracja „Pichuco" (na cześć słynnego bandoneonisty Aníbala Troilo), przy Talcahuano 250, już nie istnieje.

Niedziela, 7 stycznia. Msza o 11-tej w kościele polskim pod wezwaniem Matki Boskiej z Guadalupe, na ulicy Mansilla. Pan Franio należy do chóru, który śpiewa kolędy po polsku. Mszę odprawia Doctor Faustus, czyli ksiądz Ksawery Solecki. Jest pan Grabia-Jałbrzykowski. Po mszy spacerkiem do Stowarzyszenia „Ognisko Polskie" (*Hogar Polaco*) na ulicy Gorriti 3972, gdzie obiad z opłatkiem. Długie dzielenie się, potem ryba – łosoś à la

karp po grecku, świetna, bitki wołowe, lody, kawa, ciastka, wino argentyńskie czerwone i białe, dużo piwa. Wracam spocony i krańcowo zmęczony. Śpię prawie 12 godzin!

La Plata. Muzeum.

Poniedziałek, 8 stycznia. O 13.30 na Plaza Constitución metrem, a stamtąd o 14.30 pociągiem do La Platy. Pociąg przedpotopowy: małe okienka, ciasno stojące ławki pokryte brązową skórą, z przesuwanymi do tyłu lub do przodu oparciami.

Zaraz za Constitución ponure przedmieścia: małe, brzydkie domy, sklecone z desek i dykty baraki, góry śmieci wszędzie wzdłuż toru i na piaszczystych ulicach. Co jakiś czas przecinamy szerokie kanały-rzeki z czarną wodą, pełne jakichś pływających wysepek. Potem miasteczka: Quilmes, Berazategui, Villa Elisa, City Bell. Równiny jak okiem sięgnąć i pasące się konie i krowy. Dopiero przed 17-tą docieram do imponującego gmachu Muzeum w La Plata, pośród wyschniętego na pieprz parku. Upał straszny. Po drodze do Muzeum dwa piękne pałace po obu stronach wielkiego, przestronnego placu: Zarząd Prowincji (*Casa de Gobierno*) i ratusz (*Municipalidad*). W należącym do miejscowego uniwersytetu Muzeum oglądam szkielety przedpotopowych zwierząt, wypchane zwierzęta i ptaki (głównie amerykańskie): tapir (*anta*) z ludzkim prąciem pod brzuchem, pancerniki, kapibary (*carpinchos*), jadowity wąż żararaka urutu (*Bothrops alternatus*). Po godzinie wychodzę i na schodach, gdzie po obu stronach przedpotopowe lwy-jaguary ze szpadami kłów w paszczach, podbiega do mnie pan Karczmarczyk, sekretarz Związku Polaków w Berisso, a za nim prezes, Stanisław Wojtaszyk z Krotoszyna. Krótki objazd La Platy – neogotycka katedra z blado czerwonej cegły, w stylu europejskim, ogromna! 10 km od La Platy, Berisso, gdzie w wielkim „*galponie*” (pawilonie) siedziba Związku Polaków: sztandary, stare fotografie członków baletu „Poznań – Przyjaciel”.

Kolacja: czarne piwo, szynka, ser, zimne nogi (tłuste!), ogórki, buraczki. Kolędy i *La lunita de Tucumán* (Księżyc z Tucumán), którą wyśpiewuje głównie zaprzyjaźniony z Polakami García. Nagrywam w sekretariacie z panią Marią Makowiecką, z województwa tarnopolskiego. Śpię tamże na deskach pochlapanych białą farbą i materacu z pościelą, które przytargał pan Karczmarczyk. Bardzo „pokąsali mnie moszkity", jak nazajutrz stwierdziła pani Makowiecka.

Wtorek, 9 stycznia. Pani Makowiecka przychodzi już o 7.15. Przyrządza mate i kroi ciasto. Idziemy do pani Krystyny i jej męża. Oboje są z Wrocławia. On przyjechał w 1975, a ona w 1984. Przychodzi pani Modlińska-Drągowska z Sokół, z którą krótkie nagranie. Autobusem do Punta Lara. Autobus kluczy po uliczkach Berisso i Ensenady. Wreszcie campingi i dość eleganckie kluby jachtowe nad czekoladową La Platą. Brudny, czarny piach plaży. Mimo to parę odważnych osób opala się na tym czymś, a nawet kąpie się w tym czymś. Nieprzyjemny żar z nieba. W dali na wschodzie 9 statków na redzie.

Montevideo. Katedra.

Autobusem do La Platy. Po drodze, w Ensenada, dziewiętnastowieczny fort Barragán. W barze przy dworcu kanapka z befsztykiem z cielęciny i coca-cola. Wlokę się w upał do Muzeum, by obejrzeć przede wszystkim dział archeologiczny i etnograficzny. Robię dokładne notatki. Siedzę w Muzeum od 13.30 do 18-tej. O 18.45 pociągiem do Bujnesu. Nieco chłodniej. Constitución …

Środa, 10 stycznia. Kupuję bilet na prom do Colonia del Sacramento w Urugwaju, na 8.45 w przyszłą niedzielę, 14

stycznia. Ulicą Maipú do Victory Hotel, gdzie we wrześniu 1973 mieszkałem z Rosario. Teraz pokój ze śniadaniem kosztuje 62 pesos. Plac San Martína i piękny pomnik generała z czerwonego marmuru i brązu. Wielkie *ombú*. Ulica Florida. Przy Corrientes wsiadam w metro. Po obiedzie ulicą Corrientes w stronę Obelisku. Księgarnie, sklepy muzyczne. Odnajduję taśmę za 11 pesos z Aníbalem Troilo i "Del barrio de las latas" (Z dzielnicy slumsów). Tak, Gobello miał rację: to właśnie to tango tak źle mi się nagrało na spektaklu w „El Viejo Almacén" w 1973. Księgarnia „Gandhi" i cudowne książki. Teatro Municipal San Martín mieści się w bardzo wysokim, oszklonym budynku wzniesionym w latach 1954-1960. La Plaza to kompleks restauracji, kawiarenek, dwie sale widowiskowe, pomosty, ławki, drzewka, między ulicami Corrientes, Montevideo i Sarmiento. Ulicą Montevideo do Plaza del Congreso, gdzie „Myśliciel" Rodina, pomnik Mariano Moreno (1778-1811, przywódca argentyńskiego ruchu niepodległościowego), mnóstwo gołębi, fontanna z basenem, który symbolizuje rzekę La Plata i jej dwa dopływy, Paranę i Urugwaj, pomnik obu Kongresów: Zgromadzenia z 1813, które obaliło niewolnictwo i Kongresu w Tucumán, który ogłosił niepodległość 9 lipca 1816. Republika opiera swą lewą rękę na pługu, symbolu pracy i trzyma w prawej ręce gałązkę wawrzynu, symbolizującą sławę.

Montevideo.

Maurowie Dzwonnicy na wieżyczce Kasy Narodowej, replika Maurów z wieży zegarowej w Wenecji. Pałac Kongresu (1908) jest siedzibą władzy ustawodawczej. Wybudowany w stylu grecko-rzymskim (kolumny, kariatydy), wielkie schody, nad wejściem głównym brązowa kwadryga i miedziana kopuła ozdobiona rytami, 85 m wysokości. Dzieło architekta włoskiego Victora Meano. Pomnik Obu Kongresów jest piękny, godny najpiękniejszych miast świata. Niestety, barbarzyńskie napisy w rodzaju: „Anarchia", „Patrioci = idioci" są wymownym świadectwem moralnego upadku współczesnej Argentyny. Cukiernia „Pod Młynem" (*Confitería del Molino*) to wspaniały niegdyś salon. Wewnątrz witraże i malowidła sufitu w stylu retro (*art nouveau*). Teraz pusta i brudna. W szklanych gablotach torty i ciastka, jak w jakiejś restauracji dworcowej. Przy dwóch stolikach zaiste mało wytworne towarzystwo popija coca-colę. Upał straszliwy. Małe dzieci kąpią się w żółtej wodzie fontanny. Po lewej stronie, przy schodach prowadzących na pomnik Obu Kongresów, monolit z tablicą z okazji Milenium Polski 966-1966. Na placu, w lewym rogu, znów potężne *ombú* (niestety, już barbarzyńsko wycięte).

Czwartek, 11 stycznia. Dziś była najkoszmarniejsza noc – 28 stopni i całkowity bezruch powietrza. Obudziłem się zlany potem. Poduszka cała mokra. Pada. O 14.30 metrem do Lacroze. Przed budynkiem dworca kolejowego (kolej prowadzi do Campo de Mayo, na północny zachód od stolicy) biały łuk bramy cmentarza

Chacaritas. Pół godziny jazdy pociągiem, bardziej nowoczesnym, niż do La Platy i wysiadam w Pablo Podestá, za Martín Coronado. Pada dość mocno. Klasztor Ojców Bernardynów (tu: Franciszkanów), założony przez Ojca Maciaszka, stąd wśród Polaków nazywany jest Maciaszkowo. Wita mnie bardzo miły ksiądz Piotr Kotyła i zaprasza na podwieczorek z winem. Zwiedzamy szkołę (herby województw polskich, w tym kijowskiego i trockiego) i bibliotekę. Prowadzą szkółkę sobotnią języka polskiego (18 uczniów) plus harcerstwo (około 30 osób). W „Domu Spokojnej Starości" (około 30 osób) nagrywam trzy ciekawe rozmowy: ze Stanisławem Kosińskim, z Michałem Grzegorczykiem i z dr Zbigniewem Neuhoffem – piękna polszczyzna i ciekawe opowieści! Na koniec spotkanie z wesołym, miłym księdzem Wróblem. Zna Misiones, pisze pracę o duszpasterstwie polskim w Argentynie. Po kolacji ksiądz Wróbel odprowadza mnie na stację. Autobusem 71 do pana Frania. Bardzo udane popołudnie i wieczór.

Piątek, 12 stycznia. Mniej udany dzień. Rano elegancki supermarket „Coto", niedaleko pana Frania. Przy Rivadavia kupuję aluminiowe mate z bombillą, a w sklepie z pamiątkami na calle Azcuénaga ceramiczny inkaski kubek (*kero*), naczynie z ozdobionej nacięciami tykwy do picia mate (*mate burilado*) i lalkę – gaucha o bardzo dzikim spojrzeniu.

Po obiedzie poczta, wymiana pieniędzy w Casa Piana na San

Martín. Na ulicy Florida, w bardzo szykownej i czystej, o dziwo, *Galería Pacífico* (local *Tatú*), kupuję małe, gliniane „presépio” (szopkę) dla Luite, wykonane przez „ludzi z Północy”. Po kąpieli hotel „Alvear Palace Hotel” i spotkanie z Horacio Ferrerem. Niezbyt miłe robi na mnie wrażenie. Siedzimy w hallu hotelowym. Piję w popłochu piwo, robię notatki o *Academia Nacional del Tango* (Narodowej Akademii Tanga). Bilety na spektakle w „Homero” w dzielnicy Palermo i „Tango Mío” w La Boca po 30 i 50 pesów. Bagatela! Parę lat później przyjechał do Polski ze spektaklem *María de Buenos Aires* (Maria z Buenos Aires), muzyka Astora Piazzoli, libretto samego Ferrera, który śpiewał także jedną z głównych partii. Ulicą Ayacucho do Corrientes. Po drodze ten wspaniały gmach wodociągów (*Aguas Argentinas*) przy Av. Córdoba i Ayacucho. Masywny i bardzo ozdobny. Wałęsam się po Corrientes. Ponownie księgarnia „Gandhi”, a potem „Fausto”. Blisko Obelisku sklep muzyczny, elegancki, z piękną muzyką i pokazem tanga w telewizji. Tańczy kilka par: nieprawdopodobnie oplatają się wzajem nogami i drobią w miejscu to jedną, to drugą nogą. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Pan Franio bardzo śmiesznie to naśladował dzisiaj w kuchni, mało nie rozwalił szafki nogą. On nie znosi tanga.

Sobota, 13 stycznia. Ostatni dzień w Bujnesie. Rano leje. Porządkuję nagrania z Martín Coronado. Ostatnia rozmowa z kuzynką. Metrem na Plac Majowy (*Plaza de Mayo*) i w najbliższej jego okolicy oglądam cały szereg obiektów. A więc pomnik Julio

Argentino Roca na koniu, wodza smutnej sławy Ekspedycji na Pustynię (1880), podczas której wytępiono Indian. Jego autorem jest urugwajski rzeźbiarz José Zorrilla de San Martín (1891-1975). – Gmach Czcigodnej Rady Miejskiej (*Honorable Concejo Deliberante*), 1933. Na wysokiej wieży zegar z kurantem. – Czworobok Świateł (*Manzana de las Luces*) z Prokuraturą Misji, dawną Salą Reprezentantów i Uniwersytetem. Cały ten Czworobok stanowi Narodowy Zabytek Historyczny. – Cudowny kościół Św. Ignacego, 1713, jezuicki. Jedyna fasada barokowa w Buenos Aires, niezwykle elegancka. Wewnątrz ładne ołtarze. Jeden, z prawej strony, spalony od tyłu. Także posągi dwóch aniołów, stojące obok, spalone od pasa w dół w 1955, za czasów Peróna. W innym bocznym ołtarzu po prawej stronie, rzeźby wykonane przez Indian. Oprowadza mnie kościelny, opowiada o pożarze, zapala światła, a przy wyjściu kategorycznie odmawia przyjęcia zapłaty. Zdumiewające wśród „porteños" (mieszkańców Buenos Aires)!

Elegancki gmach szkoły państwowej (*Colegio Nacional*), 1908. – Bazylika Św. Franciszka, 1725. W 1911 eklektyczna fasada z nawiązaniem do baroku. Jeden ołtarz boczny z XVIII, reszta z 1911. Ołtarz główny spłonął w 1955. Jego przednią osłonę i wielkie kandelabry wyrzeźbiono i polichromowano w Buenos Aires w XVIII. Wnętrze Kaplicy Św. Rocha (1751) wraz z ołtarzami spalono w 1955. – Muzeum Miasta (*Museo de la Ciudad*), przy Alsina 412, jednopiętrowy budynek z dawną apteką

De la Estrella, 1900. Eksponaty przedstawiają tradycje oraz rozwój architektoniczny i urbanistyczny miasta. – Przy Alsina 463 dom Marii Josefy Ezcurra (1834), szwagierki dyktatora Juana Manuela de Rosas. Obecnie ruina. Ciekawe drewniane ozdoby nad oknami bez szyb. Na dachu krzaki. – Bank Boston, 1924 – nad wejściem ozdoby w stylu plateresco, zainspirowane szpitalem Santa Cruz w Toledo. – Pomnik prezydenta Roque Saenz Peña, 1936, dzieło rzeźbiarza o nazwisku Fioravanti.

Dalej, elegancki Pałac Miejski (*Palacio Municipal*), 1902, siedziba urzędu administracyjnego miasta. Wybudowany na terenach oferowanych generałowi San Martínowi po jego zwycięskich kampaniach. – Piramida Majowa, 1912. Stoi na środku Placu Majowego, a we wnętrzu skrywa pierwszą Piramidę z roku 1811, którą wykonano w pierwszą rocznicę Rewolucji Majowej z 1810. – Pomnik generała Manuela Belgrano, 1873, twórcy flagi narodowej. – Elegancki, potężny gmach Banku Narodu Argentyńskiego, 1924, w stylu neoklasycznym. – Pomnik Juana de Garay, założyciela miasta w 1580. Postawiony w 1915. – Dom Rządowy (*Casa Rosada)*, 1873. Na tym miejscu stała pierwsza forteca i Dom Wicekrólów. Gmach w stylu włoskim. – Dziedziniec Manewrów Nowej Komory Celnej (*Patio de Maniobras de la Aduana Nueva*), 1850-1858, dzieło Eduardo Taylora. Wyburzony w 1894, z wyjątkiem parteru, który znalazł się pod Placem Kolumba. W 1983 odkryto Dziedziniec Manewrów, gdzie ładowano towary.

Villa Elisa. Most.

Park im. Kolumba, dawne miejsce Komory Celnej Taylora. Jego półkolisty kształt przypomina dawny kształt budynku. Pośrodku, pomnik Krzysztofa Kolumba, który wskazuje na Wschód, w kierunku Europy. U stóp Kolumba grupa monumentalnych rzeźb postaci o dramatycznym wyrazie twarzy. – Spacer *Paseo Colón* (Aleją Kolumba) aż do Alei Niepodległości (*Independencia*). Po drodze wielki gmach Ministerstwa Wojska (*Ministerio del Ejército*). Na trawniku Diana z Wersalu i inne posągi klasyczne. – Przy Belgrano, *Teatro Colonial*. Dalej, *El Viejo Almacén*, przy Independencia y Balcarce: mały, biały domeczek, gdzie w 1973

podziwialiśmy cudownych wykonawców tang: Aníbala Troilo (1914-1975), Edmundo Rivero (1912-1986) i innych. Zapowiadał wówczas Horacio Ferrer. Wydaje się, że ten lokal mocno obniżył loty ostatnimi czasy.

Ładne kamieniczki na calle Chuffra, którą dochodzę do pięknego Pomnika Pracy (*Monumento al Trabajo*), 1907, dzieła Rogelio Yrurtia (1879-1950) – pochód nagich postaci płci obojga, a z tyłu kilka osób ciągnie uwiązany na linie wielki kamień. Autobusem do Retiro, a stamtąd do Muzeum Sztuki Hispanoamerykańskiej im. Isaaca Fernándeza Blanco, na ulicy Suipacha 1422. Na dziedzińcu, pod gołym niebem, piękny i doskonały aktorsko spektakl „Borges Buenos Aires", na bazie tekstów i poematów J. L. Borgesa. Trudne teksty, ale świetnie recytowane. Oprócz tego, kapitalnie tańczone tanga i śpiewy (*Yo soy morocha argentina*). Zaiste, piękny finał pobytu w Buenos Aires. Spod Wieży Anglików autobusem 115 do pana Frania, który już śpi.

Niedziela, 14 stycznia. Rano taksówką do *Dársena Sur* (Dok Południowy), Pedro de Mendoza róg Brasil. Dwie ogromne kolejki:

1. a) do uiszczenia opłaty wyjazdowej i oddania bagażu,
2. b) do kontroli paszportowej i tu okazuje się, że muszę zapłacić aż 50 dolarów za „nielegalne przekroczenie granicy" w Paso de Los Libres i brak pieczątki kontroli granicznej.

Płacę z ogromnym bólem serca.

Na pokładzie urugwajskiego promu „Eladia Isabel”, tłumy. Wszyscy się fotografują. Kanałem koło słynnego dźwigu na Riachuelo w La Boca wypływamy na bezkresną, czekoladową La Platę. Maleją na widnokręgu wieżowce Królowej La Platy. Kłębią się w głowie różne myśli na koniec etapu argentyńskiego mojej podróży. Czy wrócę tu jeszcze kiedyś? Chyba będzie trudno. Podróż trwa 3 godziny. Przede mną nieznany zupełnie Urugwaj. U jego brzegów szereg małych wysepek otoczonych czarnymi skałkami. Jakieś smutne te wyspy. I oto zielona, bardzo zadrzewiona Colonia del Sacramento, położona na cyplu. Ulice wznoszą się i opadają na stoku wzgórza. Fragmenty murów obronnych. Z przystani wlokę się z bagażem do miasta. Na głównej ulicy Generała Floresa 440 kupuję bilet do Montevideo, zostawiam bagaż i jem skromny obiad.

Nic prawie nie zostało z obecności Portugalczyków, którzy założyli Colônia do Sacramento w 1680 (Maestre de campo, Don Manuel Lobo). To najstarsze miasto Urugwaju. Dwa skromne domki w stylu portugalskim: Muzeum Portugalskie i Muzeum Kafelków, parę w stylu hiszpańskim. Najbardziej hiszpańskie jest *Museo Español.* Oryginalny bruk (*en cuña*). Ruina kościoła Św. Franciszka (1683-1704) przy latarni morskiej i ruina Domu Wicekróla (mury, obramowania drzwi i okien, kamienne łuki i bruk). Polna Brama (*Portón de Campo*), wzniesiona w 1745, za

czasów portugalskiego gubernatora Vasconcellos, most zwodzony nad fosą, ulica Westchnień (*calle de Los Suspiros*), Dom Nacarello, także z okresu portugalskiego, Archiwum Regionalne – dom pierwotnie portugalski, Bastion Matki Boskiej z Góry Karmel – część murów obronnych. Najstarszy w Urugwaju kościół parafialny, 1680, kamienny; dwie grube kolumny i atrium pochodzą z okresu portugalskiego. W ołtarzu obraz patronki Urugwaju, Matki Boskiej Trzydziestu Trzech (Urugwajczyków, którzy walczyli o niepodległość z generałem Riverą na czele). Wielka monstrancja w ołtarzu głównym i parę starych malowideł i rzeźb.

Przed kościołem i w środku wycieczki, tłumy turystów, którzy przyjeżdżają tu jak do Mekki, choć z punktu widzenia artystycznego nie jest to nadzwyczajne. Większość kamieniczek to bezstylowe domki z płaskim dachem, a te najstarsze, wymienione wyżej, to albo ruiny, albo skromniuśkie domki, często odrestaurowane (Muzeum Kafelków). Wszędzie pozakładano jednakowe żółte lampiony, latarnie na ścianach domów, co w połączeniu z ogromną ilością sklepów z pamiątkami wywołuje pewien specyficzny nastrój. Ludzie przeświadczeni są, że to nadzwyczajne miejsce. Oglądam pięć otwartych muzeów. Miejskie (dom Admirała Browna), którego budynek pochodzi także z okresu portugalskiego, ale w okresie hiszpańskim uległ transformacji. Jest tu wszystko, zbiory typowo amatorskie. Zapamiętałem przedpotopowe pancerniki. Poza tym widziałem

Dom Nacarello, Archiwum Regionalne, Muzeum Kafelków (wiszą na ścianach kafelki francuskie, walencjańskie i neapolitańskie z XIX i XX, stosowane w budownictwie w Urugwaju) i Muzeum Indianina na Placu San Martína, z kolekcją kamieni, broni i narzędzi kamiennych głównie Indian Charrúas z Urugwaju. Pan pilnujący tego Muzeum jest cały podniecony faktem, że jestem pierwszym Polakiem, który tam się pojawił. „Może pan wyjść na balkon. Proszę spojrzeć, jakie tu mamy piękne rzeczy!". Pstrykam dwa zdjęcia, aby mu zrobić przyjemność.

Włóczę się po miasteczku. Ludzie opalają się na kamieniach nad rzeką, a niektórzy nawet się kąpią. Mury obronne, łuk Polnej Bramy, molo koło Bastionu del Carmen, Bastion Bandery, Plac Główny (*Plaza Mayor*), gdzie Muzeum Miejskie, Archiwum i Muzeum Portugalskie i wreszcie Plac Broni Manuela Lobo przed kościołem parafialnym. Poubierane po *bajańsku* w obszerne białe suknie białe starsze kobiety tańczą *candombe*, a przygrywa im na bębnach 3-4 na niebiesko ubranych chłopców, którzy idą za nimi. Wyjazd autobusem do Montevideo o 19-tej. Odległość 180 km. Po drodze lekko pofalowany, zielony krajobraz. Przyjazd na nowoczesny dworzec autobusowy Trzy Krzyże (*Terminal Tres Cruces*) w Montevideo około godz. 22-ej. Z dworca wlokę się do Ambasady RP. Otwiera mi dość miła pani, która potem przynosi kanapki, pomidory, margarynę, jajka i bułki. Dobrze, że to tylko 10 minut drogi od dworca autobusowego, obok Ospedale Italiano, na ulicy Canning.

Poniedziałek, 15 stycznia. Po śniadaniu schodzę na parter Ambasady i rozmawiam z panią konsul Martą Ziembińską. Przychodzi ambasador, Ryszard Sznepf i zaprasza na kolację wieczorem. Z kierowcą Ambasady, bardzo miłym Luisem Roberto Rodino Medovem do miasta. Bilet na autobus do Porto Alegre. Aleją 18 Lipca do centrum. Dość elegancka ta aleja, ale jakaś szara. Zostawiam torbę do reperacji (rozdarta na promie z Buenos Aires). Plac Niepodległości z potężnym pomnikiem Artigasa. Pomnik Bruno de Zabala, założyciela Montevideo w 1726, na kolejnym placu, mniejszym i ładniejszym. Potem plac z katedrą z 1804, w stylu neoklasycznym, przy niej ładna fontanna. *Mercado del Puerto*, czyli Targ Portowy, to zespół barów i restauracji z wołowiną z rusztu. Tam jem befsztyk (*churrasco*) z chlebem i piwem. Niezbyt ciekawe Stare Miasto: sklepy, sklepiki, odrapane kamienice. Bulwarem zwanym *La Rambla,* dość zaniedbanym, częściowo w remoncie, do małego fortu i kościoła anglikańskiego, kopii świątyni rzymskiej. Na murze nad rzeką La Plata, znacznie tutaj czystszą, niż w Colonia del Sacramento, siedzą pary.

Na rogach ulic tabliczki (zielone, z białymi napisami) wyjaśniające nazwy ulic: Sarandí, Rincón, Treinta y Tres… Plac z pomnikiem Bruno de Zabala i posągiem nagiej nimfy. Dalej, plac z fontanną i katedrą, w której wnętrzu posążek Matki Boskiej Założenia Miasta (*Nuestra Señora de la Fundación*). 24 grudnia 1726 przewodniczyła założeniu miasta i była czczona przez jego

mieszkańców. Na prawo od ołtarza głównego ładny leżący posąg Św. Fermina. Jedyna stara brama (*Puerta de la Ciudad*) prowadzi na Plac Niepodległości z pomnikiem bohatera narodowego nr 1, José Gervasio Artigasa, na różowym marmurowym cokole (autor: Angelo Zanelli, rzeźbiarz włoski, 1923). Przy placu zgrabny Pałac Estéveza, z końca XIX, dawny pałac prezydencki, w stylu manierystycznym, z kolumnadą. Przepycham się zatłoczoną, bardzo długą Aleją 18 Lipca. Stragany wzdłuż obu chodników i tłumy przechodniów utrudniają posuwanie się. Parę dużych księgarń, kina, teatry. Spośród budynków wyróżniają się: Pałac Brazylijski (*Palácio do Brasil*) i obok kolejny pałac w stylu francuskim – siedziba Muzeum Gauczów (*Museo del Gaucho*), wielki, czerwony gmach ratusza (*Intendencia*), Biblioteka Narodowa, Uniwersytet, różowy pałacyk – siedziba MSZ.

Plac Szamotaniny (*Plaza del Entrevero*) z pomnikiem Indian Charrúas walczących z hiszpańskimi konkwistadorami (autor: José Belloni, 1965), *Plaza Cagancha* z pomnikiem Zwycięstwa (*Columna de la Victoria* o *de la Paz*), autor: Giuseppe Livi, 1867, Pomnikiem Gaucza (José Luis Zorrilla de San Martín, 1927) i Obeliskiem, dziełem tego samego artysty, 1938. O 21-ej na kolację ze Sznepfem i Ziembińską-Hyjek do restauracji *Balcón del Lobo* (Balkon Wilka), koło *La Rambla*. Po drodze ładny pomnik reformatora oświaty i wychowawcy młodzieży José Pedro Varela (1845-1879), autor: hiszpański rzeźbiarz Miguel Blay, inauguracja 1918. Na kolację ser *provolone* z ziołami, na ciepło,

zapiekane chorizo i soczysty, krwawy antrykot, plus wino stołowe. Niedaleko restauracji w pięknej, neokolonialnej willi Muzeum poety urugwajskiego, ojca rzeźbiarza, Juana Zorrilla de San Martín (1855-1931). Sznepf był w dość dobrym humorze i nawet opowiadał śmieszne dowcipy.

Wtorek, 16 stycznia. Ból głowy, straszliwe zatrucie i zmęczenie. Przekładam wyjazd do Porto Alegre na następny dzień. Z kierowcą Luisem na Cerro (wzgórze nad Montevideo, od którego pochodzi nazwa miasta). Na szczycie wzgórza, 132 m wysokości, forteca hiszpańska, armaty, pomnik Artigasa u stóp fortecy. Rozległy widok na miasto i zatokę, rafinerię – wszystko przyprószone szarą mgiełką. Widać ten najbardziej charakterystyczny budynek z wysoką wieżą przy Placu Niepodległości, zwany *Palacio Salvo* (Mario Palanti, 1928). Po drodze Parque del Prado i oryginalny pomnik Dyliżansu (José Belloni, 1952) z wielkim konnym zaprzęgiem i przewodnikiem na koniu z przodu. W dzielnicy willowej elegancki pałac z wieżyczkami, dawna siedziba Ambasady Argentyńskiej. Wielki dworzec kolejowy przy calle Paraguay (teraz tylko pociągi towarowe).

W Parku Battle y Ordóñez, blisko Ambasady RP, bardzo ciekawy Pomnik Wozu (José Belloni, 1919): trzy pary wołów ciągną duży dwukołowy wóz, a za nim idzie jeszcze jedna para wołów i jedzie na koniu woźnica. Podobnie jak dyliżans, wóz grzęźnie w błocie i

woły muszą maksymalnie się natężać, aby go z błota wyciągnąć. Niedaleko jest jeszcze Pomnik Mistrzów w Piłce Nożnej w 1950. W parku drzewo o białych pięknie pachnących kwiatach.

Po południu Pomnik Szamotaniny (*Monumento al Entrevero*) i Muzeum Gauczów. Piękne wnętrze i ciekawa ekspozycja: wyroby ze srebra – naczynia do picia mate, strzemiona, przednie ozdoby pasów – *rastras;* ze skóry – bicze, kule do chwytania bydła i zwierząt, czyli *boleadoras, culeros,* czyli płaty skóry osłaniające spodnie z tyłu, fartuchy, tabakiery (*chuspas)*, pasy, lassa, kapelusze, duże bicze z krótkim trzonkiem (*arreadores*), plecionki, paski, osłony siodeł; z metalu – wędzidła, strzemiona, ostrogi, ostrza lanc, pieczęcie do znakowania bydła, lampki oliwne, patelnie, garnki, kociołki, nożyczki do obcinania knotów u świec, lichtarze, guziki Gauczów – imitacja dawnych ozdób ze srebrnych monet, ostrogi w kształcie dzwonów, ostrza noży i stalowe sztylety. Naczynia do picia mate, także w kształcie kielichów (*mates de „cáliz”*), pojemniki na yerbę mate i cukiernice (*yerberas – azucareras*), krowie rogi – naczynia (*chifles y chambaos*), guziki, pasy, zapalniczki (*yesqueros*), broń i narzędzia (kule do chwytania zwierząt, *desjarretadores* – narzędzie do przecinania ścięgna Achillesa zwierzętom, pistolety, lasso), noże, sztylety, uprząż, ostrogi i bicze. Wielkie bogactwo eksponatów.

Ale już spieszę na spotkanie z Antonio Taco Larretą (1922-2015)

aktor i reżyser teatralny, w Teatro del Centro na Plaza Cagancha 1164 (próba generalna o 19-tej). To ten plac ze statuą Wolności. Rozmawiamy na stojąco może 10 minut. On myślał, że to Joaquín Constanzo chce z nim rozmawiać. Joaquín Constanzo, były ambasador Urugwaju w Polsce, był prześladowany i więziony za czasów dyktatury wojskowych w latach 70-tych. Potem go rehabilitowali, ale on zamknął się w sobie i odizolował od wszystkich. Marta Grompone wyemigrowała do Szwecji na okres dyktatury, a po powrocie umarła na raka. Taco zaprasza mnie na próbę, ale jestem umówiony na nagranie u pani Haliny Wolskiej, bardzo daleko od centrum. Daje mi swój adres. No nie było to serdeczne spotkanie po 30 latach … Znalazłem go bardzo zgorzkniałym. U pani Haliny sympatycznie. Jej matka do niej: "Halina, daj mi sapaty!" (buty).

Środa, 17 stycznia. W Alei 18 Lipca kupuję taki skórzany futerał na termos i mate. To specjalność urugwajska, nigdzie indziej nie widziałem. Nazywa się *matera* lub *porta termo y mate*. Dzisiaj po południu zwiedzam Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej i Kolonialnej (*Museo del Arte Precolombino y Colonial*), obok ratusza. Zawiera głównie repliki, ale też ciekawe malowidła ze Szkół z La Paz (*Escuela Paceña*), z Cuzco (*Escuela Cuzqueña*), z Quito (*Escuela Quiteña*) i z Potosí (*Escuela Potosina*) z XVII i XVIII. Ponadto, sztuka Corrientes: 1. metyska ludowa, XVIII i XIX, 2. pochodząca od prototypu europejskiego, XVIII, 3. pochodząca od prototypu włoskiego, XIX. Kopia posągu

proroka Joela (oryginał wyrzeźbiony przez Aleijadinho w atrium kościoła Bom Jesus de Matosinhos, w Congonhas do Campo, stan Minas Gerais). Oryginalne rzeźby są wykonane z saponitu, czyli kamienia mydlanego. Stąd stanowcze postanowienie wypadu do Congonhas do Campo, zrealizowane w niedzielę, 28 stycznia, trzy dni przed powrotem do Europy. Co do sztuki prekolumbijskiej, to w większości kopie. Wyjątki: statuetka z drewna polichromowanego (kultura Chancay, Huacho, 150 km na północ od Limy, Peruwiańskie Wybrzeże Środkowe, 1100-1400 n. e.), srebrna ozdoba korony (Trujillo, 1200-1400 n. e.), podobna do ceramiki Nazca ceramika kultury Casas Grandes (Chihuahua, 1250-1521 n. e.). Kultury kostarykańskie: 1. Huétar (800-1200 n. e.), 2. Línea Vieja (300-1200 n. e.) 3. Chorotega lub Nicoya (750-1000 n. e.).

Przebiegam jeszcze salę rzeźby greckiej i rzymskiej. Mają tu znakomite kopie wszystkich znanych dzieł, między innymi Dianę wersalską (tę z sarenką), Leokaresa z IV p. n. e. i głowę konia (bogini Selene), z warsztatu Fidiasza z V p. n. e. O godz. 22.00 odjazd z dworca autobusowego Tres Cruces do Porto Alegre.

Erechim. Zameczek.

Czwartek, 18 stycznia. Odległość do Porto Alegre 890 km. Przyjemna podróż. Przed Porto Alegre leje. Zalane tereny, mokro. Na dworcu autobusowym (*rodoviária*) czekają ksiądz Leon Lisiewicz i Mariusz Niedziółka, obaj bardzo mili i sympatyczni. Jest 9.30 rano. Bilet do Erechim na 20 stycznia. Po śniadaniu wycieczka za miasto, wzdłuż rzeki Guaíba. Monte de Santa Tereza – wspaniały widok na miasto i okolicę. Ksiądz Lisiewicz opowiada legendę o Indiance Obiriti, jednej z dwóch

kandydatek na żonę kacyka. Niestety, nie trafiła z łuku do tarczy i nie została jego wybranką. Wobec tego zaczęła płakać, a z jej łez powstała nieistniejąca już rzeczka Ibicuiretã. Plaża nad rzeką Guaíba. Objeżdżamy wzgórze zabudowane eleganckimi willami, zwane *Vila de Conceição*, z kaplicą.

Po obiedzie niesamowity cmentarz mieszczący się w kilkupiętrowym wieloczłonowym, połączonym korytarzami i schodami „koronkowym" budynku. Zwie się *Cemitério São Miguel e Almas* (Cmentarz Św. Michała i Dusz). Nieprawdopodobny labirynt! W Parku *Araújo de Viana* pomniki trzech kompozytorów: Chopina, Bethovena i Carlosa Gomesa (kompozytora brazylijskiego 1836-1896). Miasto liczy 1400 tysięcy mieszkańców. W centrum nowa katedra z 1929, masywna i elegancka, w krypcie osiem gigantycznych głów Indian; Pałac Gubernatora, zwany także Pałacem Piratini, 1921: na pierwszym piętrze malowidła o treści historycznej. Poniżej Placu Marszałka Deodoro, Teatr Św. Piotra i ciemno różowy Dom Quintany, dawny wielki hotel zamieniony na Centrum Kulturalne z dziedzińcem wewnętrznym. Mário Quintana jest poetą brazylijskim urodzonym w stanie Rio Grande do Sul w roku 1906.

Wieczorem pan Mariusz Niedziółka zaprasza księdza Leona i mnie na kolację do *Galpão Crioulo* (Hangar Kreolski). Od kurzych serduszek z rożna po kiełbaski i ogromne połcie pieczonej wołowiny – *churrasco.* Pan Mariusz preferuje *cupim* z

garbu krów rasy zebu. Od połowy tej kolacji nie mogę patrzeć na mięso. Na szczęście, na scenie widowisko: folklor gauczowski. Śpiewają i tańczą ogniste tańce w biało-czerwonych strojach. Ale tango argentyńskie to im nie wyszło wcale. Kto to widział, żeby tańczyć tango jak w dyskotece, w takiej odległości jedno od drugiego! Partnerzy muszą cały czas po sobie spływać, wić się po sobie, oplatać się jak najciaśniej.

Piątek, 19 stycznia. Rano pada i to porządnie. Piszę ten pamiętnik. Na obiad z księdzem Leonem do pana Komki *Churrascaria &Galeto. Komka*. *Galeto* to kurczak, którego zamówiłem. Po obiedzie w biegu wsiadam do autobusu i jadę sam do centrum. Targ owocowy przy neoklasycznej Hali Targowej (*Mercado*), 1864. Fryzjer za 5 reali. Muzeum Júlio de Castilhos (1859-1903; dziennikarz i gubernator stanu Rio Grande do Sul), przy Rua Duque de Caxias 1231. Najpierw dział Republiki: kule do chwytania zwierząt (*boleadeiras*), dzwonki (*chocalhos*), sandały na podwyższeniu (*tamancos sírios*), łyżka do obuwia (*calçadeira*), ostrogi chilijskie, lufki (*piteiras*), naramienniki (*dragonas*), lichtarze (*palmatórias*). Cesarstwo i Kolonia: narzędzia tortur dla niewolników (żelazne lub drewniane obroże – *gargalheiras*, łańcuchy, kajdanki – *grilhões* lub *algema*, kojec – *tronco*). Rzeźby z Guarańskich Misji Jezuickich, z pustymi wycięciami z tyłu: Jezus dźwigający Krzyż (*Senhor dos Passos*), Matka Boska, Św. Franciszek Ksawery, Anioł. Poncza zwane są tutaj *pala.*

Strażnik namawia mnie na rozmowę z panią dyrektor, Miriam Aloísio Avruch (mąż jest polskim Żydem). Bardzo miła rozmowa. Po wyjściu z Muzeum, centralny plac przed katedrą z wzniesionym w 1913 pomnikiem Júlio de Castilhos. W Teatrze São Pedro, 1858, w foyer koncert Blue Jazz. Grają Francisco Gomes na skrzydłówce (fluegelhorn) i James Liberato na gitarze portugalskiej. Gdy wchodzę, grają akurat *„Triste”* (Smutny) Toma Jobima, potem *Samba de Verão* (Letnią sambę) autorstwa Marco i Paulo Sérgio Valle i znowu Toma Jobima i Viniciusa de Morães *O morro não tem vez* (Skała nie ma alternatywy). Pani Avruch właśnie wychodzi.

Poszedłem w przeciwną stronę i zabłądziłem sromotnie. Jak nigdy! Bardzo się oddaliłem od Hali Targowej (*Mercado*), ale dzięki temu mogłem sfotografować stary, kamienny most zbudowany przez założycieli miasta, emigrantów z Wysp Azorskich, w 1854 i ich nowoczesny pomnik z żelaza, wyobrażający wielki statek, którym przypłynęli do Brazylii, 1974. Dalej, pomnik na koniu marszałka Osório (*Manuel Luís Osório, marquês do Herval*), 1808-1877. Zwyciężył w dwóch bitwach w kampanii paragwajskiej, pod Tuiutí w 1866 i pod Avaí w 1868, gdzie odniósł rany. Pięknie zadrzewiony Plac Komory Celnej (*Praça da Alfândega*). Kawałek ulicą dla pieszych (*para pedestres*), gdzie sprzedawcy zwijają swoje kramy. Przy *Mercado* pięknie oświetlony Pałac Piratiní z fontannami dookoła. Gdy wracam do księdza Lisiewicza, zastaję pana Mariusza

Niedziółkę. Już obaj mieli telefonować na policję! Ten wspaniały człowiek, ksiądz Leon Lisiewicz, umarł 22 stycznia 2010 roku w wieku 82 lat…

Sobota, 20 stycznia. Całkiem przyjemna podróż do odległego o 330 km Erechim. Z Porto Alegre wyjeżdżam o 9-tej rano, a w Erechim jestem około 15-tej. Po drodze wspinamy się dość wysoko w Passo Fundo, potem Getúlio Vargas i Erechim, zwane dawniej *Paiol Grande,* czyli Wielka Prochownia. Siostra Consolata (kuzynka Siostry Fabioli z Kurytyby) i Matka przełożona, Włoszka z pochodzenia, czekają na dworcu autobusowym. Pokoik w klasztorze na parterze, dość sympatyczny. Nagranie u pana Józefa Leonarda Ziemnieczaka (*José Leonardo Gemnieczak*), także z udziałem germanofila z Grudziądza. Poznaję panią Wandę Krepinski Groch, obecną konsul honorową RP i jej rodzinę. Widuję ją wówczas często. Proponuje mi pracę na miejscowym uniwersytecie w charakterze wykładowcy polskiego i hiszpańskiego. Niestety, z winy tamtejszej uczelni, nic z tego w końcu nie wyszło. Samo miasto nie ma nic ciekawego do zaoferowania: jest stosunkowo nowe, pozbawione zabytków, może z wyjątkiem budynku Prefektury i stylowego „Zameczku” (*Castelinho*), 1915. Czerwona ziemia, długie proste ulice, nieprawdopodobnie rozciągnięte w przestrzeni. Podobne w swej nijakości do opisanego wyżej Assis, w stanie São Paulo.

Niedziela, 21 stycznia. W pobliskim Barão de Cotegipe dwa nagrania: z panią, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć oraz z niesłychanie elokwentnym i ciekawym rozmówcą, moim krajanem z Bolimowa, panem Tadeuszem Trzcińskim. Siedzę u niego całe popołudnie. Poznaję całą bardzo miłą i gościnną rodzinę. Przy domu rosną olbrzymie drzewa. W czasie mojego tam pobytu długa ulewa tropikalna. Pan Tadeusz odwozi mnie do klasztoru w Erechim, ale przedtem zdjęcia całej rodziny z koszyczkami nabytymi u Indian Guaraní.

W **poniedziałek, 22 stycznia,** Erechim, a we wtorek, 23 stycznia, dwa pobliskie miasteczka: Áurea i Carlos Gomes, gdzie także nagrywam. Wizyta w Áurea u młodego polskiego księdza Czesława Pieli, który sprezentował mi gadający po hiszpańsku zegarek zakupiony w Paragwaju. Oba miasteczka to raczej duże wsie rozrzucone po wzgórzach. Mnóstwo osób polskiego pochodzenia. Z Áurea pochodzi Bernadete Popoaski, późniejsza stypendystka na UJ w Krakowie.

Środa, 24 stycznia. Odjazd do Kurytyby, 481 km, 5 godzin jazdy. Z całą rodziną państwa Kawków nad morze, do Praia de Leste, via Estrada Graciosa. Odległość 100 km. Ta droga przecina piękne, porośnięte gęstą roślinnością, pełne potoków i wodospadów Góry Nadmorskie (*Serra do Mar*). Nazajutrz, w czwartek, 25 stycznia, plaże Caiobá i Matinhos. Nie specjalnie malownicze. Po południu powrót pociągiem do Kurytyby. Mimo

osławionej pięknej trasy z Paranaguá przez Góry Nadmorskie, niewiele widać z tego pociągu z powodu licznych tuneli, zasłaniającego widoki ogona pary z parowozu i ciągłych ostrych zakrętów. Ledwie zdążyłem rzucić okiem na słynny wodospad „Welon Panny Młodej" (*Véu da Noiva*), już zniknął. Gdzieś w tle widać piękne szczyty, wspaniałą skalistą górę Marumbi, 1539 m. Na dworcu autobusowym w Kurytybie starsza córka państwa Kawków z narzeczonym pomagają mi włożyć bagaż do bagażnika autobusu i w nocy podróż do Rio de Janeiro, 852 km. Mało przyjemna, bo straszny ziąb, klimatyzacja na maksimum: strumień lodowatego powietrza spływa mi na ramię i nie można zmienić miejsca, bo autobus nabity!

Piątek, 26 stycznia. Rano Luitgarde i jej mąż czekają na dworcu autobusowym w Rio de Janeiro. Piękne słońce i Corcovado z Chrystusem Odkupicielem góruje nad miastem. Odpoczywam po podróży, a nazajutrz, w sobotę, 27 stycznia, zwiedzam *Quinta da Boa Vista* (Pałac z Pięknym Widokiem), początek XIX, dawna rezydencja cesarzy Brazylii, zwana także Pałacem Św. Krzysztofa (*Palácio de São Cristóvão*). Wewnątrz Muzeum Narodowe. Wśród zbiorów najbardziej zainteresowała mnie dawna ceramika z wyspy Marajó, u ujścia Amazonki, przepiękne wzory geometryczne na polichromowanych naczyniach i urnach grzebalnych. Wieczorem jadę autobusem do Congonhas do Campo, w stanie Minas Gerais. Odległość 355 km. Podróż trwa 5 godzin.

Niedziela, 28 stycznia. Gdy wysiadam z autobusu jeszcze całkiem ciemno i bardzo zimno. Znowu zapomniałem ciepło się ubrać, a na tej wyżynie temperatura jest o wiele niższa, niż nad oceanem w Rio de Janeiro, szczególnie w nocy i rano. Popędziłem najpierw w kierunku innego kościoła na wzgórzu i dopiero później zorientowałem się, że to nie ten. Kościół Jezusa Dobrej Śmierci z Matosinhos – 1757, jest daleko od dworca autobusowego, na wyniosłym wzgórzu. Właśnie za nim wstawało słońce i pięknie rysowała się sylwetka otoczonego palmami kościoła na tle rozpalonego różowością nieba. Wyłaniał się z wolna z mroku nocy i triumfalnie wkraczał w światłość. To było czarujące zjawisko! Tego dnia byłem pierwszą osobą przy tym kościele. Przed nim monumentalne schody z posągami dwunastu proroków wyrzeźbionymi przez Aleijadinho (1730-1814) w szarym saponicie, a niżej, wzdłuż opadającej łagodnie drogi, siedem dużych barokowych kaplic ze stacjami Drogi Krzyżowej. Wszystkie 66 figur w kaplicach w drewnie cedrowym wyrzeźbił także Aleijadinho. Na modłę baroku postaci są ukazane w ruchu, rzeźby polichromowane, barwne, pełne życia. Kolory dobrze się zachowały. Sam kościół wewnątrz także interesujący. Ma bogaty wystrój rokokowy o wpływach włoskich.

Po południu jadę jeszcze do Sabará, z drugiej strony stolicy stanu, Belo Horizonte. Miasteczko znakomicie zachowało klimat kolonialny z XVIII. Najpiękniej wygląda kolorowa ulica Dom Pedro II (dawniej *Direita* – Prosta). Usytuowane na wzniesieniach

kościoły, w tym najwspanialszy Kościół Matki Boskiej z Góry Karmel oraz Kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia to prawdziwe klejnoty brazylijskiego baroku kolonialnego, barwne, wspaniałe! Malowniczą budowlą jest Kaplica Matki Boskiej La O, o ciekawych drewnianych balaskach w oknach frontowych. Pozostałe dwa kościoły barokowe to Kościół Matki Boskiej Łaskawej i Św. Franciszka z Asyżu.

Poniedziałek, 29 stycznia. Biegam w Rio de Janeiro po księgarniach, kioskach z gazetami i rezerwuję bilet do Lizbony w Portugalskich Liniach Lotniczych TAP, zaś we wtorek, 30 stycznia, dalszy ciąg wizyt w księgarniach, głównie książek używanych – *sebos* (są znacznie tańsze) w okolicy Placu Tiradentes. Przy okazji zwiedzam osiemnastowieczny jezuicki kościół Św. Franciszka z Pauli, wewnątrz neoklasyczny i rokokowy, a także kościół Matki Boskiej z Lampedusy, z 1936, z okazałym wnętrzem i wielkimi żyrandolami. Niesłychanie interesujący jest Portugalski Królewski Gabinet Lektury (*Real Gabinete Português de Leitura*) z 1887, na zewnątrz w pięknym stylu manuelińskim, a w środku trzy wysokie poziomy drewnianych półek z książkami i ozdobna latarnia w suficie oświetlająca mocnym światłem stoły czytelników. Zgromadzono tu 350 tysięcy tomów i jest to drugie poza Portugalią miejsce na świecie, gdy chodzi o ilość książek portugalskich.

Środa, 31 stycznia. Ponownie podziwiam zbiory Brazylijskiego

Muzeum Narodowego w Pałacu Św. Krzysztofa, a wieczorem odlatuję do Lizbony, gdzie spędzam pierwszy dzień lutego. Na lotnisko przyjechała po mnie Carla Sacadura Cabral. Po nieprawdopodobnym, szaleńczym upale w Rio de Janeiro, gdzie przy pakowaniu bagażu pot kapał ze mnie grubymi kroplami, w Lizbonie dygoczę z zimna.

Piątek, 2 lutego 1996. Lot Lizbona – Berlin Tegel, a potem z dworca Berlin Lichtenberg pociągiem do Wrocławia. Nie było mnie w domu od września 1995.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-ii/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-iii/

http://www.cultureave.com/argentyna-i-paragwaj/